AS



Nr. 23
5 CZERWCA 1938 R.
CENA 40 GROSZY

INCOGNITO

KALENDARZYK »ASA«

Co ludzi interesuje w tym miesiącu?



3. KOSTJUMY KĄPIELOWE. Nasze panie zaopatrują się w kostjumy kąpielowe. Najmodniejsze są w bieżącym sezonie kostjumy à la Józefina Baker. Kostjumy takie są tanie i nawet w najuboższym domu znajdzie się parę centimetrów materjału na uszycie sobie takiego kostjumu. Kostjumy te niczem nie przypominają ubiorów kąpielowych w dawnej epoce. Mają tę wyższość nad dawnemi kostjumami, że można je wysyłać w zwyczajnych listach bez dopłaty.



4. EGZAMINY. Dzieci przychodzą do szkoły i przynoszą nam świadectwa. W tym dniu należy wbić sobie w pamięć znane chińskie przysłowie: „Dziecka nie bij nawet kwiatem". Zresztą nie dzieci winne, lecz zreformowany system szkolny. Ostatecznie nie trzeba się martwić, jeśli dziecko się źle uczy. Najwyżej nie skończy średniego zakładu szkolnego i zostanie jakimś wyższym dygnitarzem państwowym albo dyrektorem gimnazjum.

5. WYNAJMOWANIE LETNISK. Czas pomyśleć o wynajęciu letnisk. W lecie bowiem musimy odpocząć. W tym celu wysyła się rodzinę na letnisko. Nie należy przerażać się wysokiemi cenami za wynajem letnisk — żadna cena nie jest zbyt wysoka za tę parę tygodni naszej wolności.



1. DNI KRAKOWA. Zaczynają się „Dni Krakowa". Wbrew intencjom władz centralnych „Dni Krakowa" odbywają się od paru lat właśnie w Krakowie. Do najważniejszych atrakcyj tego okresu należy Lajkonik, czyli pokaz rozpędzania tłumu bez użycia broni palnej. Przybywa też do Krakowa „Wesołe miasteczko" oraz P. A. L. Teatr miejski z okazji „Dni Krakowa" wystawia po raz setny „Gałązkę rozmarynu", jako sztukę najmniej znaną w całej Polsce.

6. ZAJADAMY SIĘ OWOCAMI. Nadchodzi sezon owocowy. Najmilsze są wprawdzie zakazane owoce, które możemy spożywać przez cały rok. W braku „zakazanego owocu" można się zadowolić i truskawkami...

* * *

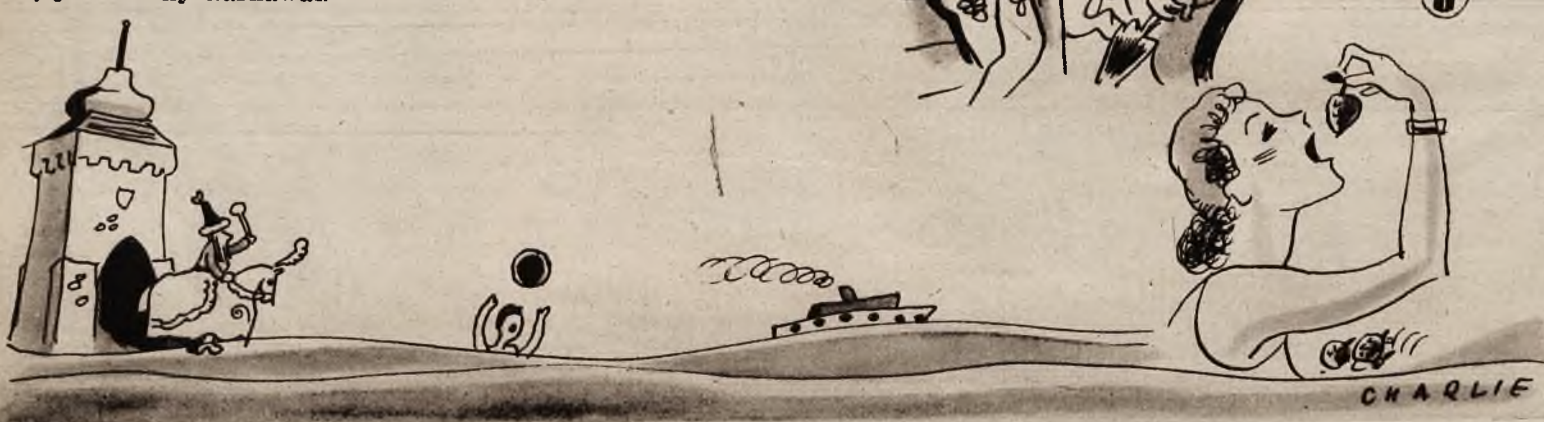
W czerwcu warto też pomyśleć o przygotowaniu się do wycieczek zagranicznych. Jest to niezmiernie trudne ze względu na skomplikowaną sytuację międzynarodową. Należy w tym celu wziąć mapę i wykreślić sobie trasę podróży przez kraje, które jeszcze nie przeżywają gorączki wojennej. Wielu turystów udaje się do Włoch czy Grecji, aby oglądać ruiny z czasów starożytnych. Ruiny z czasów nowożytnych można oglądać w Hiszpanji, a niebawem prawdopodobine i w innych krajach Europy.

Adkalendasgraecas.



2. ZIELONE ŚWIĘTA. Na Zielone Święta jesteśmy w wielkiej rozterce dokąd się wybrać na wycieczkę. Narty czy kajak — mówi do siebie nowoczesny Hamlet. W górach odbywają się wielkie zawody narciarskie, połączone z kąpielami słonecznemi. Nazwa Zielonych Świąt pochodzi stąd, że w tych dniach ludowcy obchodzą swe święto. Wiele osób przez cały rok obchodzi Zielone Święta — są to ci, którzy zostali przeniesieni na zieloną trawkę. W górach trwa jeszcze biały karnawał, na nizinach zaczął się już zielony karnawał.





ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER“ S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66 KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENA W CZECHOSŁOWACJI Kc. 2.50

CENY OGŁOSZEN: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 m... stro-na zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ...owe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. pród... ...ych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia... ...my

Numer 23 **Niedziela, 5 czerwca 1938**

Już za tydzień SPECJALNY NUMER na „DNI KRAKOWA“



Paryż obfituje w piękne parki i ogrody, choćby wspomnieć tylko słynny Lasek Buloński. Największą jednak popularnością cieszy się w lecie park wersalski, założony przed dwoma wiekami przez Lenôtre'a, do którego z pierwszymi promieniami gorącego słońca ciągną Paryżanie, by nietylko zażywać świeżego powietrza, ale też napawać się wspaniałemi widokami, jakich dostarczają te prawdziwie królewskie ogrody. *Fot. Mandi — Amsterdam*

KRAKÓW - MIASTO ŻYWYCH KAMIENI

Na prawo: Brama Florjańska w Krakowie od strony plant.



Budził się z mgieł poranek. Dym szybkiemi smugami otulał przebiegające wzdłuż toru słupy telegraficzne. W przedziale kolejowym siedzieli zaspani ludzie. Unosił się zapach wody kolońskiej, pomarańcz i resztek czadu z lokomotywy.

Ilekroć Ronard powracał do Krakowa, zdawało mu się, że zanurza się w szarą, bezbarwną, czasem ciężką rzeczywistość. Ronard mieszkał i pracował stale w Krakowie. Musiał wytężać wiele sił, aby sprostać trudnemu zadaniu utrzymania się na poziomie. Musiał walczyć, aby nie zostać zepchniętym przez życie na dalszy plan... Dlatego krąg jego zainteresowań obejmował wyłącznie żywą rzeczywistość, otaczającą go na codzień. Na co innego nie miał czasu. Ronard nie przeczuwał nawet, że istnieje coś poza jego pracą, coby mogłoby go zająć.

Każdy wyjazd poza Kraków, traktował Ronard jako wydarzenie. Nic dziwnego. Wyjazdy te były jego wakacjami, podczas których nie trzeba było zajmować się niczem poza wyszukiwaniem i dobieraniem miłych, czy przyjemnych godzin.

Kiedy wędrował po różnych miastach Polski patrzał na nie świeżym wzrokiem przybysza i wynajdywał w tych widokach tysiączne wdzięki. W Krakowie, miasto i jego mury były atrybutem nieodłącznym, nieraz bardzo trudnych dni Ronarda. Może dlatego nie przedstawiały dla niego specjalnych ponęt — czcigodne budowle prastarego grodu.

Teraz wciśnięty w kąt przedziału, z ciężką głową po niespokojnym śnie — Ronard myślał o powrocie do pracy: dworzec, droga obmokłym brukiem do domu, śniadanie i... praca. O niczem innem nie myślał Ronard. Nawet nie przyszło mu do głowy zastanowić się, jak wyglądają ulice, któremi będzie szedł i czy zaszły tam jakie zmiany podczas jego miesięcznej nieobecności.



Ktoś uchylił okna. Stukot kół stał się głośniejszy. Świeży powiew wdarł się do przedziału. Ronard rozpakował czekoladę i patrząc w okno, zaczął ją gryźć. Falisty teren kołysał się obok pociągu, wśród świeżej zieleni świeżego lata.

— A zatem zbliżamy się już do Krakowa — powiedział siedzący naprzeciw Ronarda podróżny, patrząc na niego jakby w oczekiwaniu potwierdzenia.

Ronard przytaknął ruchem głowy, połknął czekoladę, którą żuł i zapalił papierosa.

— To piękne miasto. Gdy jestem tam, doznaję dziwnych uczuć — dodał po chwili nieznajomy.

— Tak — stare miasto — odpowiedział Ronard i uczuł, że niema nic innego do powiedzenia na temat środowiska, w którem przebywał od tylu lat. A pozatem — dodał jeszcze — takie miasto, jak wiele innych — chyba...

— Mówią, że nie powinno się go szpecić nowoczesnemi latarniami, tramwajem, stacjami benzynowemi — mówił podróżny, jakby nie dosłyszał Ronarda. Twierdzą, że nie powinno być na terenie starego miasta nowoczesnych sklepów i napisów, sygnałów kierunkowych, aparatów pożarniczych...

— Hm, bez tego już zupełnie nie możnaby wyobrazić sobie życia w Krakowie — wymamrotał Ronard.

— Nie będę się spierał co do tej kwestji. Zapewne bez tych wszystkich nowoczesnych znaków czasu utworzonoby jedyny w swoim rodzaju rezerwat przeszłości, muzeum minionych wieków o kolosalnych rozmiarach... Lecz Kraków żyje. Żyje zdumiewająco silnem życiem, pomimo swego wieku. Jako zaś organizm żywy musi posiadać wszystkie symptomy tego istnienia.

Ronard słuchał wpatrzony w ruchomą panoramę za oknami.



Na prawo: Zamek królewski na Wawelu od strony ul. Grodzkiej, z „Kurzą Stopką" na pierwszym planie.

— Dla mnie — ciągnął nieznajomy — miasto o silnych kontrastach, spowodowanych koniecznością przystosowywania się do coraz to innych i nowych warunków — oznaczają przedewszystkiem wolę życia. — Pozatem są one tak fascynujące i urocze. Poprostu przykuwają uwagę. Nowoczesne akcenty, z którymi jesteśmy, jako ludzie im współcześni zrośnięci i zżyci — mojem zdaniem nie mogę ująć piękna, czy zmienić charakteru otoczenia. Wręcz przeciwnie. Podkreślają to piękno, umacniają jego wartości i zwracają na nie uwagę... Ale pana pewno to wszystko nie interesuje? — zatroszczył się nieznajomy.

— Ależ nie, zaprzeczył żywo Ronard. Pańskie uwagi są naprawdę interesujące. Przyznam się — Ronard zawahał się, że nigdy nie zwracałem na to wszysko uwagi. A mieszkam w Krakowie już bardzo długo...

— To proste — nieznajomy uśmiechnął się — pan poprostu przyzwyczaił się do otoczenia i przestał na nie zwracać uwagę... To się często zdarza. Jeśli chodzi o mnie, będę obecnie po raz drugi w Krakowie.

— Długo pana tam zatrzymają interesy?

— Nie jadę dla załatwienia jakichś spraw. Poprostu wykorzystuję wolny dzień, by odwiedzić to miasto. Jadę do Krakowa dla niego samego.

Ronaldowi przebiegło przez myśl, że on nigdy nie pomyślał o czemś podobnem. Wolne dni spędzał w domu. Nie przyszło mu nigdy do głowy, aby „powłóczyć się" po Krakowie, lub oglądać go i starać się poznać. A ten człowiek z naprzeciwka przebył setki kilometrów właśnie dlatego.

— Niech pan spojrzy — usłyszał Ronard słowa — czyż nie piękna okolica wita nas przed bramami Krakowa. Teren urozmaicony, z każdą chwilą inne, prześliczne widoki, zmieniające się jak w kalejdoskopie. Zazdrościć wam trzeba wszystkiego od miasta począwszy, aż do jego okolic zasianych licznemi pamiątkami minionych wieków. To umie ocenić człowiek z równin. Niech mi pan wierzy. Bielany, Tyniec, Kalwarja, Czerna, Tęczyn, Ojców, Wieliczka — no, doprawdy bogactwo piękna zostało tu zgromadzone hojną ręką.

Ronard myślał, że nie zna tych miejscowości. Nieznajomy zaś mówił dalej:

— Ilekroć zastanawiam się — wiele rzeczy wspaniałych, ile podań i jaka olbrzymia historja, jaka chwała całej Polski związane są z Krakowem, doznaję uczucia, że dla poznania tych wszystkich dokumentów, nagromadzonych przez korowód wieków, nie starczy sił i życia jednego człowieka. Gdy po raz pierwszy znalazłem się w Krakowie, otoczyły mnie echa i rzeczy przeszłości tak wielkie, że uczułem się małym i zgubionym wśród tych wiekowych labiryntów, w których wzniosły artyzm jest przewodnikiem. Może jestem wyjątkowo ustosunkowany do Krakowa, ale mnie naprzykład osobiście wystarczy tylko zewnętrzne piękno tego miasta. Nie starałbym się o daty i historję. Nie należę do tych turystów, których można oszołomić jedynie faktem, że jakiś zabytek pochodzi z XII czy XIV wieku. Piękno, jego powaga i dostojeństwo mówią same za siebie. Uświadamianie sobie wieku zabytków jest czemś w rodzaju znęcania się nad samym sobą. Jeżeli wtedy w X, XI czy XV wieku dokonano już tego, co zastajemy w Krakowie — czemże jesteśmy? Albo niczem, albo nacją genjuszów, przed którymi stoją otworem fantastyczne perspektywy... W to ostatnie jednak nie bardzo mi się chce wierzyć — roześmiał się nieznajomy.

— Mnie — przyznał się Ronard — bardziej dotychczas interesowały zdobycze mego wieku. Technika jest czemś, co w pełni rozumię i z czem jestem związany.

— Stanowisko pana, jako człowieka nowoczesnego jest zrozumiałe. Niech pan jednak przyzna, że „dziś" nie przyszło samo z siebie. Łączy je z przeszłością nierozerwalny łańcuch wysiłków ludzkości, ciągły postęp i kultury minionych lat. Chcąc w pełni ocenić i zrozumieć postęp — trzeba znać jego źródła i początki. Nigdzie zaś w Polsce lepiej, jak w Krakowie nie można nauczyć się szanować tej kultury i genjuszu polskiego, który sprowadził dzień obecny. Droga jego jest w tem mieście upamiętniona najwspanialszymi pomnikami.

— Kraków — ciągnął dalej podróżny — miasto, liczące dziś 250 tysięcy mieszkańców, — znane już jako osada w drugim wieku po Chrystusie i opisane przez Ptolomeusza w jego geografji jako Carroduunum przeżył wiekową ewolucję i zmaganie z przeciwnościami. Przeszły nad nim niszczące pożary, najazdy obcych hord, świetność okresu Jagiellonów, wreszcie zapomnienie i smutna wegetacja. Zabytki Krakowa zdają się opowiadać o wielu wydarzeniach. Tę ziemię, którą teraz przebywamy, deptały stopy wielu pokoleń. Została ona przekopana wiele razy, posiada jeszcze tajemnice, które zdolne są dać obraz początków miast i osiedli na niej kiedyś zbudowanych i dziś zaginionych.

Ronard w myśli zaczął przechodzić obrazy swego miasta. Najstarszy polski uniwersytet, a zarazem, po praskim najstarszy uniwersytet w środkowej Europie — założony przez Kazimierza Wielkiego w r. 1364. W uczelni tej studjował znakomity Polak Mikołaj Kopernik z Torunia. Około 50 kościołów z najwspanialszą w Polsce świątynią, kościołem N. Marji Panny, wybudowanym w ciągu XIII do XV wieku. W kościele tym na tle świetl-

Dokończenie na str. 31.



Fragment Rynku z pomnikiem Mickiewicza na pierwszym planie.
RYSUNKI: J. M. BRZESKI

DNI UMAJONE...



„Majenie" chaty w Bronowicach.



Na prawo: Tłumy wycieczkowiczów oczekują statków, które zawiozą ich na Bielany.

Dni umajone...

...choć właściwie już w czerwcu. Dni, w których w całym świecie chrześcijańskim surowy kamień kościołów i domów stroi się w zieloną, żywą szatę, uwitą z gałązek obudzonych do życia wiosennego drzew — dni, w których wszędzie, gdzie tylko panuje chrześcijańska wiara, radosne obchody, stopione z odwiecznymi zwyczajami ludowymi w jedną nierozerwalną całość, mają upamiętnić ludzkości święto zesłania Ducha św. i „cud wielojęzyczności". Święto to, jeszcze w czasach najwcześniejszego chrześcijaństwa noszące grecką nazwę „pentekoste" — pięćdziesiątego dnia po Wielkiej Nocy, obchodzili już Żydzi w czasach Starego Testamentu pod nazwą „dziękczynnego święta żniw". Zamykało ono okres siedmiu tygodni żniw, rozpoczynających się świętem „passah" i stąd zwanem było także „świętem tygodni" — obchodzonem pięćdziesiątego dnia, po upływie „żniwnego okresu". Wraz z powolnem zanikaniem przyrodniczego podłoża religji — na miejsce „żniwnej ofiary" wysunął się na plan pierwszy wzgląd na nakazy synajskiego prawodawstwa. Pradawny jednak zwyczaj żydowski wieńczenia w dniu żniwnego święta synagog i domostw — utrzymał się później i nadal.

Dla Kościoła chrześcijańskiego posiadają Zielone Święta znaczenie przedewszystkiem dlatego, ponieważ pięćdziesiątego dnia po Zmartwychwstaniu zstąpił Duch św. na apostołów, co, jak wiemy, zapoczątkowało powstanie Chrystusowego Kościoła.

Święto zakończenia radosnego okresu wielkanocnego obchodzi się specjalnie od 3-go wieku. Począwszy od średniowiecza — święcono oficjalnie Zielone Świątki przez trzy dni, obecnie tak u katolików, jak i protestantów obejmują one prawie wszędzie tylko dwa dni — z wyjątkiem Włoch, gdzie obchodzi się oficjalnie tylko Zieloną Niedzielę. — Zwyczaj zaś ozdabiania wtedy kościołów i domów zielonością ma swoje uzasadnienie w psalmie 118.

Podłoże religijne Zielonych Świątek i jego mistyczna fabuła znalazła niejednokrotnie odzwierciedlenie w sztukach plastycznych — jeszcze w czasach wczesnego chrześcijaństwa. I tak — cud zesłania Ducha św. oglądamy po raz pierwszy na minjaturze w syryjskiej księdze ewangelicznej Rabulasa z r. 586-go. Znajduje się ona obecnie w słynnej bibljotece florenckiej — „Laurentiana". Dalej — możemy podziwiać go w mozaice kopułowej kościoła św. Marka w Wenecji (ok. 1100 r.). Następnie został on uwieczniony w rzeźbie portalowej kościoła opactwa w Vezelay w 12-tym wieku — a Giotto upamiętnił go w swych słynnych freskach kaplicy Madonna dell' Arena w Padwie. Budowę tej kaplicy, dodamy nawiasem, rozpoczęto w roku 1303-cim, a fresk o powyższym temacie powstać miał w latach 1303—1307. Znane również są malowidła Angelico da Fiesole'a, poświęcone temu tematowi, dalej Tycjana (kościół Santa Maria della Salute w Wenecji) — wreszcie z nowszych czasów prace artystyczne Jana v. Schraudolpha w katedrze w Speyer i Sambergera.

Wielce ciekawe są niektóre zwyczaje, zwłaszcza na Zachodzie — związane z Zielonemi Świętami. Możnaby tu przeprowadzić podział tych zwyczajów na takie, które związane są z oficjalnemi uroczystościami kościelnemi i na zwyczaje ludowe, obchodzone w tych dniach przeważnie po wsiach Niemiec, Belgji i Słowiańszczyzny. Częściowo — sięgają one jeszcze pogańskich czasów.

Ze zwyczajów, obchodzonych w ścisłym związku z uroczystościami kościelnemi, należy przedewszystkiem wymienić „skaczącą procesję" w Echternach, pojawiającą się w dniu Zielonych Świątek na ulicach tego luxemburskiego miasteczka. Jest ona czemś w rodzaju „dziękczynnej uroczystości" za zdjęcie z tej okolicy przekleństwa choroby św. Wita, która tam w 8-mym wieku szalała. Procesja odbywa się w sposób następujący: Liczni uczestnicy uroczystego pochodu w asyście duchowieństwa i wielkiej ilości muzykantów postępują powoli, skacząc trzy kroki naprzód, a potem dwa w tył — co wygląda dość pociesznie i bynajmniej nie przyczynia się do podniosłego nastroju, do jakiego w procesjach przywykliśmy naprzykład u nas w Polsce. Z wybitniejszych obchodów pozatem należy jeszcze wymienić ciekawą procesję ku czci św. Gwidona, względnie św. Wita — odbywaną konno na jednem z przedmieść Brukseli, Anderlecht.

To, co powyżej przedstawiliśmy — byłoby zwyczajami, zespolonymi ściśle z uroczystościami oficjalnemi, kościelnemi — obchodzonemi w dniu Zielonych Świąt. O wiele jednak liczniejszymi są zielonoświątkowe zwyczaje ludowe. Z tych najbardziej rozpowszechnionym w całym świecie chrześcijańskim jest zwyczaj zdobienia domów i wozów wiejskich zielonością. W krajach zachodniej Europy chłopiec wiejski stawia w tych dniach swej wybranej dziewczynie brzózkę przed domem — młodzi parobcy wiejscy urządzają zawody wydrapywania się na szczyt „drzewa majowego", umieszczonego w czasie innych uroczystości ludowych, z majem związanych, w środku wioski — lub też urządza się wyścigi konne, których metą jest zwykle wyżej wspomniane drzewo. Zwycięzca w tych wyścigach zdobywa tytuł „króla" i jest przedmiotem owacji i podziwu całej młodzi wiejskiej, a uznania ze strony starszych, wspominających wtedy z sentymentem swe własne „wyczyny zielonoświątkowe" w czasach swej młodości. Zwyczaj ten jest zwłaszcza w Niemczech zakorzeniony, a przebieg takiej uroczystości miałem sposobność oglądać w jednej ze styryjskich miejscowości.

Gdzieniegdzie urządza się specjalne „kawalkady zielono-świątkowe", w czasie których oprowadza się uroczyście po całej wsi przebranego na zielono chłopca. Bywają też w zwyczaju objazdy pól i łąk, podczas których błogosławi się mającą przynieść plony ziemię.

W Polsce Zielone Święta obchodzi się specjalnie uroczyście. Pradawne lechickie zwyczaje podczas uroczystości wiosennych, rozpoczynających każde „Nowe Lato", tradycja przyłączyła do kościelnego święta, które stopione z nimi od wieków, jest jednem z najpiękniej obchodzonych w naszym kraju. Po wsiach zwyczaje owe zbliżają się w swej formie do wyżej opisanych zwyczajów ludowych — po miastach, jak n. p. w Warszawie i Krakowie odbywają się tradycyjne pielgrzymki na Bielany, połączone z odpustem, zabawą ludową, wyjazdem statkami do pobliskich okolic i tak zwaną „majówką". Pogodna beztroska ogarnia wtedy serca ludzkie i napawa nową energją, siejąc wokół radość życia, budząc ufność w przyszłość i własne siły.

Opisy te możnaby mnożyć w nieskończoność, albowiem nuance, jakim podlega każdy zwyczaj w poszczególnych okolicach, zróżnicowują go w szczegółach bardzo ciekawych i niezmiernie charakterystycznych. Faktem jest, że radosne, rozśpiewane zielonością i opromienione blaskiem uśmiechu nadchodzącego lata Zielone Święta, budzą w duszy ludzkiej nowe siły twórcze, które w tych dniach manifestują się nazewnątrz w najrozmaitszego rodzaju obchodach i zabawach — by po ich upływie jąć się rzetelnej, płodnej w skutki, pozytywnej pracy, z nową nadzieją w przyszłość i wiarą w zrealizowanie swych życiowych celów. Mistyka tego święta jest przepojona radością, jak radością przepojona jest cała, obudzona do nowego życia natura. I dlatego jest ono jednem z najpiękniejszych świąt chrystjanizmu i takiem zawsze pozostanie. Święto umajonych dni...

Adam Cyprian.

KĄCIK FILATELISTYCZNY

Przez opisywanie wystawy warszawskiej zaniedbaliśmy trochę omawianie ostatnich nowości, ale teraz obiecujemy już poprawę. Znaczki Szwajcarji, Norwegji, czy też Francji były w międzyczasie dokładnie reprodukowane i mogliśmy już sami stwierdzić, jak nadzwyczajnie zostały wykonane. Sensacją było ponadto, że tam, gdzie dotąd spotykaliśmy w regularnym obiegu tylko znaczki o motywach rysunkowych zdecydowano się na wprowadzenie krajobrazu (Norwegja).

Jednem słowem ministerstwa poczt starają się usilnie o to, abyśmy za nasze pieniądze otrzymywali „towar" jakościowo i artystycznie pierwszorzędny. Jeśli chodzi o zmiany na rynku, to trochę późno jest dzisiaj notować kolosalną zwyżkę znaczków austrjackich. Wszystkie serje dobroczynne kosztują conajmniej o 300% drożej, niż przed „Auschlussem", ale z drugiej strony

Dokończenie na str. 31-ej



Koperta lotnicza St. Zjedn., opłacona najnowszym znaczkiem za 6 c. (w kolorze niebieskim i czerwonym). Podróżowała ona z Toledo (w stanie Ohio) do Krakowa przez 12 dni.

RAKIETA I BERŁO

Młody, olbrzymiemi krokami ku ambitnym swym celom zdążający generał Bonaparte poznaje w r. 1795 w Marsylji pannę Désirée Clary, córkę miejscowego, szanowanego kupca. Brat przyszłego cesarza — Józef jest żonaty z jej siostrą Julją, stąd piękna, niezwykle romantyczna panna jest jego krewną, ale jest też czemś znacznie więcej! Napoleon kocha ją tak, jak to się zdarza przy pierwszej miłości. Inaczej jednak sądzone było temu romansowi: mimo czułych listów, Bonaparte żeni się w kilka lat później z Józefiną markizą de Beauharnais, née Tascher de la Pagerie, a Désirée Clary wychodzi zamąż za generała Jana Baptystę Bernadotte, jednego z najlepszych wojskowych republiki. Gdy pani generałowa urodzi syna, otrzyma on zgodnie z modą wytworzoną przez literaturę imię Oskara, imię, które wejdzie w kilkadziesiąt lat później do historji Szwecji, stając godnie obok odwiecznych imion Gustawa, Adolfa, czy Karola.

Dziwne to były czasy: z dnia na dzień powstawały i ginęły państwa, z godziny na godzinę ludzie wyszli z nicości, stawali się nowoczesnymi herosami. — Jedną z tych nowych postaci, wydobytych na wyżynę, był Jan Bernadotte, syn skromnej rodziny szlachty urzędniczej, osiadłej w Pau, skąd i Henryk IV. wywodził swój ród. O ile karjera Bernadotte'a była wyjątkowa, o tyle też jego zalety, prawość charakteru i zdolności znacznie przewyższały wszystkich nieomal jego kolegów marszałków cesarstwa. Służbę wojskową rozpoczął jako żołnierz w armji Sambre-et-Meuse. Dla swego rasowego wyglądu, zwany „Belle-Jambe", Bernadotte awansuje dopiero po wybuchu wielkiej rewolucji, usuwającej wszelkie stanowe różnice. Jest on też szczerym republikaninem: ideały swe wzoruje na mężach dawnych Aten i Rzymu, nie rozumie zaś i pogardza „geszefciarstwem" republikańskiem, jakie zaczyna kwitnąć we Francji za Dyrektorjatu. Bernadotte wierzy w uczciwą republikę i służy jej z całych sił. Stąd gdy widzi samowładcze zakusy Bonapartego, powstają między nimi pierwsze zatargi. Kiedyś już na wyspie św. Heleny, Napoleon powie o nim: „Jeżeli Bernadotte został marszałkiem cesarstwa, księciem Ponte Corvo i tylu doznał łask, to zawdzięcza to jedynie swej żonie". Czy tak było naprawdę? Jest więcej jak pewne, że cesarz zachował pamięć wesołej, miłej i ładnej dziewczyny w swem sercu, ale zaszczyty zdobył sobie Bernadotte niejako wbrew cesarzowi, gdyż odważnie podkreślał niechęć do popierania jego planów. Przeciwnie, możnaby wykazać, że Napoleon uważał Bernadotte'a za jedynie poważnego przeciwnika i konkurenta. Historycy twierdzą, że Bonaparte w pewnej chwili zobaczył w Sułkowskim współzawodnika i starał się odsunąć go w cień: w takim samym lub wyższym stopniu da się to powiedzieć o Bernadotte'm. Karjera jego była szybka: był wodzem całych armij, walczących we Włoszech i Niemczech, był ministrem wojny, został wkońcu w czasie nadawania lenn i księstw marszałkom i członkom domu Bonapartych, księciem di Ponte Corvo, które



Na lewo: przy śniadaniu po partji tenisa.



Powyżej: ...podczas parady wojskowej.



Poniżej: Król Gustaw V podczas otwarcia parlamentu, po lewej (w okularach), następca tronu, po prawej (pod figurą) książęta Gustaw Adolf, Karol i Eugenjusz.

chociaż małe, położone na granicy Państwa Kościelnego a Królestwa Neapolitańskiego, jednak dawało marszałkowi pozory suwerenności.

W tym to czasie, kiedy nowe trony jak grzyby po deszczu wznosić się poczęły dla Bonapartych — panował w Westfalji Hieronim, w Neapolu Joachim Murat, w Holandji Ludwik, w Hiszpanji Józef, gdy i szwagrowie otrzymywali państewka — Felix Bacciocchi — ks. Piombino, adoptowany syn Eugenjusz de Beauharnais zawierał związek małżeński z księżniczką bawarską, córką do godności króla przez Napoleona podniesionego elektora — w Szwecji wygasał stary dom królewski holsztyńsko-gottorpski, którego ostatnim reprezentantem był Karol XIII. Byli wprawdzie dalsi krewni króla, ale nie wchodzili z różnych względów w grę jako następcy na tronie. Bernadotte był już osobistością znaną w całej Europie, a nadto szczęśliwy zbieg okoliczności chciał, że szwedzki poseł w Paryżu, znający Bernadotte'a, posiadał dla niego szczere uznanie i nadmienił w swej ojczyźnie o możliwości powołania jego właśnie na tron szwedzki. Zaczęły się pertraktacje: marszałek ujmującem postępowaniem i swadą, właściwemi Gaskończykom, umiał tak dalece zaskarbić sobie sympatje Szwedów, że po pewnym czasie kandydatura jego stała się popularną w Skandynawji. Karol XIII



Powyżej: „Mister G." gawędzi z słynnym tenisistą Borotrą.



Powyżej: Królewski zamek w Sztokholmie w nocnem oświetleniu.

mający jeszcze pewne zastrzeżenia co do swego następcy, wywodzącego swą karjerę z szeregów republikańskiej armji, zgodził się wkońcu na jego adoptację. Odnośny akt Napoleona zezwolił „naszemu Kuzynowi, księciu de Ponte Corvo na przyjęcie godności następcy tronu królestwa szwedzkiego".

Wybór — rzecz właściwie dziwna — zważywszy odmienność wychowania, rasy, poglądów, narodowości i religji, okazał się trafny. Gdy w r. 1818 książę Jan Karol, jako Karol XIV wkładał na skronie królewską koronę Szwecji i Norwegji, cały kraj wznosił szczere okrzyki na cześć nowego monarchy. Do zimnego dalekiego Sztokholmu podążyła po kilku latach też królowa Désirée. Opuściła ukochany swój Paryż, swój pałacyk na rue d'Anjou, wyrzekła się paryskich domów mody, magazynów z perfumami i tego wielkiego świata, który stanowił jej ulubiony żywioł. I odtąd dom Bernadotte'ów zyskał miłość i uznanie swych nowych poddanych. Dziś, gdy obecny król Gustaw V. obchodzi (16 czerwca) swe osiemdziesiąte urodziny, cała Szwecja, ale też cała Europa ze szczerem uznaniem wspomina jego rządy i jego mądrych poprzedników.

Bo Bernadotte'owie są rodziną naprawdę zdolną: wykazali to zarówno w polityce, jak w sztukach pięknych, jak w dziedzinie ekonomji. Pierwszy ich reprezentant na tronie Szwecji z niezwykłem zrozumieniem kierował trudną polityką królestwa wobec Anglji, Rosji i Francji, borykając się z ogłoszoną przez Napoleona „blokadą kontynentalną", jak z drugiej strony z rywalizacją z Rosją o Finlandję a wkońcu z zagadnieniem Norwegji, objawiającej odśrodkowe tendencje. Syn Karola XIV, Oskar I, żonaty z córką Eugenjusza de Beauharnais, księcia leuchtenberskiego, pasierba Napoleona I i ks. Augusty bawarskiej, był zdolnym muzykiem, i współpracował przy tworzeniu symfonji wojskowej Haydna. Syn Oskara, ks. Gustaw również był muzykiem, brat zaś jego król Oskar II wybitnym poetą i mecenasem sztuk pięknych, wielkim naprawdę monarchą, który pozostawił trwałą pamięć u Szwedów. Jeden z braci króla Gustawa V, ks. Karol westgotlandzki zdobył sobie sławę jako wybitny malarz. Jak wiadomo i wnuk króla, Sigvard Bernadotte, obecnie noszący jedynie nazwisko rodowe, posiada zdolności artystyczne i jako reżyser filmowy walczy o sukcesy życiowe, jak zwykły śmiertelnik. Pomimo, iż Bernadotte'owie od trzech generacyj spokrewniają się z niemieckiemi domami panującemi (Nassau, Baden, dom sasko-koburski itd.), to jednak w ich mentalności, upodobaniach, żywości charakteru, można zauważyć dziedziczność francuską. Również i sympatje polityczne domu panującego szły wybitnie w kierunku Francji. Warto też wspomnieć, że król Karol XV, brat króla Oskara II, był wielkim przyjacielem Polski a sympatje swe wyraził notą dyplomatyczną, zwróconą w r. 1863 do państw europejskich, domagając się powstrzymania rozlewu krwi i zapewnienia Polsce należnego jej w rodzinie narodów stanowiska. W razie wystąpienia Francji przeciwko Rosji, król gotów był nawet na wystawienie armji stotysięcznej przeciwko zawsze dla Szwecji groźnemu wschodniemu sąsiadowi.

Lecz i tu, jak tyle razy w historji, sentyment osobisty grał też ważną rolę: król Karol XV po stracie swej pierwszej żony, królowej Ludwiki z domu ks. orańskiej, zamierzał poślubić Marję hr. Krasińską, córkę naszego wieszcza Zygmunta i jego żony Elżbiety z hr. Branickich. Wobec tego, że konstytucja szwedzka nie dozwalała królom na poślubienie osoby, nie posiadającej tytułu „Altesse Sérénissime", król hiszpański Amadeusz miał nadać ojczymowi hr. Marji, Ludwikowi hr. Krasińskiemu tytuł granda, kuzyn zaś Krasińskich król Wiktor Emanuel II, tytuł księcia, które to tytuły przez adoptację przeszłyby na Marję. Projektom tym jednak kres położyła śmierć króla.

Rządy Oskara II, ojca króla Gustawa V odznaczały się dla Szwecji rozkwitem zamożności, sztuk pięknych i... bezkrwawą rewolucją! Norwegja, oddawna zmierzają-

Dokończenie na str. 26-ej.



Powyżej: Jan Bernadotte, książę di Ponte Corvo, marszałek Napoleona I., od r.1818 król Szwecji i Norwegji.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA KARL SANDELS, SZTOKHOLM.



Na prawo: Król Gustaw udziela swej synowicy, ks. Ingrid, dobrych rad.

WANDA DE RICHE **NOWELA**

Człowiek nie z tego świata

Nie wiem, kto mi opowiedział tę historję. Przypominam sobie jednak, jak przez sen, człowieka, będącego jej bohaterem. Wysoki, szczupły mężczyzna, z siwiejącemi włosami i spuszczoną na piersi głową. Spotkałem się z nim raz tylko w parku miejskim i nie zwróciłbym na niego uwagi, gdyby nie słowa towarzyszącej mi podówczas osoby. „Biedak! Zdawało mi się, że umarł przed dwoma laty... Właściwie, prawdę mówiąc, to już osobnik nie z tego świata...". Ale nie udzielono mi wtedy wyjaśnień. Dopiero w trzy miesiące później... tak nie mylę się... prawie w trzy miesiące później, kiedy na jakiemś zebraniu towarzyskiem mówiono o miłości, kobietach i ich demonicznym wpływie na życie społeczne, padło jego nazwisko... Nie ma ono znaczenia, jak nie ma znaczenia rodowód i wykształcenie tego człowieka. Określano go mianem szaleńca, obdarzano przydomkiem nieszkodliwego wariata, ale gdy zapytałem o jego dzieje, nikt nie mógł mi powiedzieć nic pewnego. Ofiara miłości i wyobraźni!

Wyobraźni! Może to prawda. Dziś, kiedy wiem, co było przyczyną jego szaleństwa, przypomina mi się powieść Wilde'a o „Obrazie Doriana Gray'a" i dziwnym związku wspomnianego w niej malowidła z losami bohatera tego utworu. Dorian Gray pozostaje wiecznie młody, mimo, że przechodzi najrozmaitsze koleje w życiu i stacza się na dno moralnego upadku, a obraz jego starzeje się, staje się coraz ohydniejszy. Kto wie, czy powieść Wilde'a nie jest w pewnej mierze odpowiedzialna za losy człowieka, o którym wspominałem i którego opinja napiętnowała, jako obłąkanego.

Zakochani budzą do życia świat rojeń i marzeń, które zziszczają się bardzo rzadko. Żyją w tym zaczarowanym kręgu własnych zapatrywań, prześcigują się w idealizowaniu przedmiotu miłości i patrzą przez różowe szkła nawet na wady i grzechy wybranej istoty. A kiedy dłuższy okres małżeństwa otwiera im oczy na rzeczywisty stan rzeczy, doznają uczucia krzywdy, jeśli ich wybrany czy wybranka okazuje się przeciętnym człowiekiem. Tylko heroiczne natury podejmują walkę, walkę niepewną, w której nazwyczaj czeka ich przegrana.

Henryk Okęski... nazywam go tak, chociaż właściwe jego nazwisko brzmiało zupełnie inaczej... zdobył się w swem płomiennem uczuciu do żony na wszystko, co dusza jego posiadała najszlachetniejszego. Twierdzić, że ją uwielbiał, byłoby określeniem zbyt słabem... Możnaby rzec, że wyidealizował ją pod względem fizycznym i psychicznym tak, jakby był artystą, żyjącym w świecie nadzwyczajności. A ona.... To prawda... była bardzo piękną kobietą. Uroda jej przemawiała do zmysłów i przyprawiała mężczyzn o oszołomienie. Należała do rzędu tych piękności, które przekształcić mogą kochającego człowieka w niewolnika i popchnąć go nawet do zbrodni. Nie była zła, ...Trudno winić ją za to, co czyniła i do czego dążyła. Rodzice pieścili ją i rozkapryszali, a kiedy dorosła, przekształcili mimowoli w egoistkę, dla której własna przyjemność była głównym celem w życiu.

Trudno powiedzieć, czy kiedykolwiek kochała Henryka... Przypuszcza, że jeśli tak było, miłość ta była czysto zmysłową i trwała bardzo krótko. Ten przelotny okres czasu wystarczył jednak, aby z jej męża uczynić człowieka, który poza nią nie widział nic godnego uwagi i którego życie całe koncentrowało się w uśmiechu jej ust i oczu. Musiał być jednak szczęśliwy... bardzo szczęśliwy, jeśli wspomnienie tego szczęścia pozostało mu na długie lata samotności i udręki.

Będąc fanatycznym wielbicielem jej wdzięków, kazał w rok po ślubie zrobić portret żony jednemu z najsłynniejszych malarzy naszych i chociaż portret ten nie był zbyt udany, pysznił się nim, jak nieocenionym skarbem. Rzecz dziwna, ona obrazu nie lubiła nigdy... Twierdziła, że jest w nim coś niesamowitego... coś, czego się lęka. Być może, że malarz zdołał podchwycić jakiś szczegół fizyczny, który miał znaczenie, jakby symboliczne i który przypominał jej cechy charakteru, rzucające na nią niepochlebne światło... Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie, gdyż nigdy nie widziałem portretu. Jeśli wspomniałem jednak o powieści Wilde'a to tylko dlatego, że portret Heleny, jak i portret Doriana Grey'a zaczął z biegiem lat ulegać przeinaczeniu...

Nie ulega wątpliwości, że młoda kobieta przekształciła się z kochającej żony w ciągu krótkiego czasu w zalotnicę i awanturnicę. Nie minęły dwa lata, a ludzie zaczęli sobie opowiadać na ucho, że zdradza męża, szuka podejrzanych towarzystw i że w gonitwie za wrażeniami zapomina o wszelkiej godności. Zaczęto litować się nad Henrykiem, który zajęty był swą pracą zawodową i nie wiedział, co czyni żona za jego plecami, ale nikt nie miał odwagi otworzyć mu oczy na to, co się dzieje. A działo się coraz gorzej. Doszło do tego, że policja przytrzymała ją w jakimś domu schadzek...

Był to dla niego cios okropny. Przyszło do strasznej sceny między małżonkami, jestem jednak pewny, że mimo wszystko ten biedny niewolnik miłości przebaczyłby żonie ów występek, gdyby nie jej stanowcze oświadczenie, że go nie kocha i że chce odzyskać swobodę. Swoboda! Na nic nie zdały się przekonywania, prośby i błagania. Wyjechała do stolicy z kochankiem, bogatym przemysłowcem, który dla niej stracił głowę...

Minęło kilka miesięcy, zanim ujawniły się następstwa wstrząsu, jakim było dla Okęskiego zerwanie z uwielbianą kobietą. Zrazu znajomi jego nie przykładali wagi do pewnych oświadczeń opuszczonego męża, które odnosiły się do wspomnianego portretu Heleny i w których starał się wmówić w odwiedzających, że portret uległ... wypięknieniu.

— Ma włosy jeszcze bardziej złote... a w oczach jej widzę wyraz dziwnej szlachetności, jakiego nie spostrzegałem u żadnej kobiety na świecie — powtarzał znajomym. I rzecz ciekawa, byli ludzie, którzy podzielali to zdanie.

Kiedy z początkiem marca, w rok po ucieczce Heleny, rozeszła się wieść, że kochanek jej popełnił oszustwo i że lękając się odpowiedzialności, odebrał sobie życie w przeddzień aresztowania, Okęski zaprosił do siebie dwóch przyjaciół, aby przekonali się o nowej zmianie portretu.

— Spojrzenie oczu Heleny stało się poważne i głębokie... pełne niewysłowionej słodyczy, a usta, dotąd zaciśnięte, okrasił uśmiech — objaśniał gości. I przyznali mu słuszność. Przypuszczam, że żona była dla niego w tym obrazie, który był jedyną pamiątką, jedynym wspomnieniem krótkich chwil ich szczęścia. I sądzę, że portret mógł mieć dla niego z tych względów wielką wartość. Nie rozumiano jednak, co ma oznaczać przekonywanie otoczenia, że się wciąż zmienia i że Helena jest na nim jeszcze piękniejsza, jeszcze godniejsza pożądania wówczas, gdy rzeczywistość doprowadziła zupełnego upadku. Dzienniki głosiły przecież, że pani Helena Okęska jest moralnie odpowiedzialna za śmierć swego wielbiciela!

Minął znowu rok i znowu portret uległ zmianie. Stało się to w okresie głośnego skandalu w Zakopanem, którego bohaterami była pani Helena i Teofil Drewicz, syn jednego z naszych najwybitniejszych dyplomatów. Nikt nie mógł objaśnić, dlaczego młodzieniec targnął się na swe życie, ale ogólnie twierdzono, że przyczyną tego była jego miłość do pięknej rozwódki. Rozmawiałem z profesorem Wielochem, który odwiedził w owym czasie Okęskiego i któremu ten pokazywał stojącą u niego na sztalugach w gabinecie podobiznę dawnej żony.

— Z każdym miesiącem jest piękniejsza — mówił mu. — Twarz jej wyraża obecnie nieziemską jakąś słodycz. Popatrz na te niewinne oczy! Na to czyste, śnieżnie białe czoło! Tak musiały wyglądać anioły!

Było coś nienaturalnego i przykrego w tym kulcie portretu kobiety, która stawała się na nim coraz piękniejszą w miarę, jak oczy jej opuszczonego męża przyglądały się mu coraz częściej. To pewne bowiem, że spędzał przed nim całe godziny. Wieści o niegodnej żonie musiały bez wątpienia dochodzić do jego uszu. Piękna pani nie kryła się i nie robiła tajemnicy z swych postępków. Pyszniła się niemi i każdy nowy skandal uważała raczej za reklamę swych wdzięków i uroku. Dla Henryka żyła jednak tylko na portrecie i tam stawała się coraz godniejszą miłości. W miarę, jak w życiu realnem przekształcała się w nierządnicę, która dla zysku zdolną była zdobyć się na każdy postępek, w oczach jej dawnego męża była ideałem coraz bardziej wzniosłym, coraz godniejszą uwielbienia.

Wieści o portrecie i dziwnem odnoszeniu się do niego właściciela musiały budzić niepokój u jego znajomych. Wiedziano o chorobliwej miłości Henryka do żony, o kulcie, jakim otaczał obraz, ale ów bezkrytyczny podziw dla kobiety, która budziła teraz wstręt i nienawiść, był jednak dla wielu, jakby osobistą obrazą. Drażnił, przyprawiał o niezadowolenie przyjaciół i budził współczucie dla Okęskiego u znajomych. Nic też dziwnego, że znalazł się wreszcie człowiek, który postanowił uwolnić Henryka z pod demonicznego wpływu wspomnień o żonie.

Było to nazajutrz po aresztowaniu Heleny, wmieszanej w główną sprawę brylantowej broszki, ukradzionej dla niej przez jakiegoś nowego kochanka. Człowiek, o którym mówię, wybrał się do mieszkania O-

Dokończenie na str. 12-tej.

Studjum rąk...



I. Smutna wiadomość.

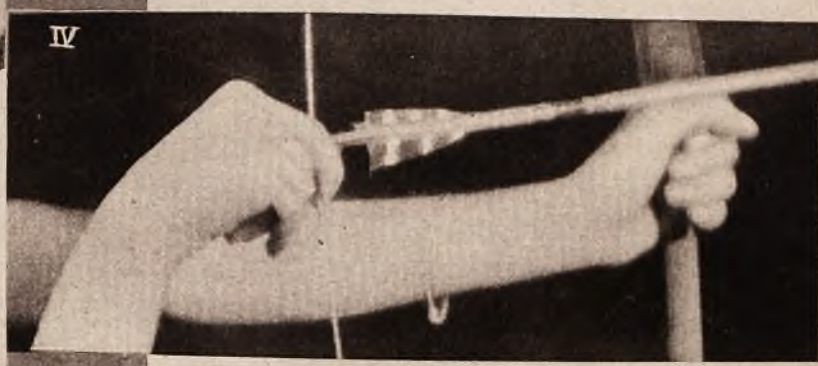


II. Muzyka.



III. Hazard.

IV. Sport.





V. Przy umywalni.

Dokończenie ze str. 12.

kęskiego, aby rozmówić się z nim i zwrócić mu uwagę, że ośmiesza się w oczach wszystkich.

Służąca wpuściła go do gabinetu, w którym pan jej spędzał zwykłe wieczorne godziny.

Wieczór zapadał i światło lampy, stojącej na biurku, padało wprost na wielki obraz, przed którym stał z założonemi rękami Okęski. Jeden rzut oka wystarczył przybyszowi na stwierdzenie, że był to portret dawnej żony gospodarza.

Rzecz dziwna, obraz jaśniał żywemi barwami, a postać młodej kobiety wykłądała w ramach jak żywa. Była jakby wcieleniem piękna i świeżości, a w jej uśmiechu, w wyrazie jej błękitnych oczu można było wyczytać coś, co zadawało kłam krążącym o niej plotkom. Portret oczarowywał i onieśmielał zarazem, budził podziw i przemawiał do duszy. Przybysz stanął, jak wryty.

Okęski zwrócił ku niemu swą bladą twarz i przywitał gościa skinieniem ręki. Usiedli obaj przed malowidłem: przybysz, nie wiedząc, jak przystąpić do sedna sprawy, gospodarz, obojętny na wszystko, zatopiony w myślach i wpatrzony wciąż w obraz żony.

Rozmowa nie kleił asię. Okęski robił wrażenie zgnębionego i przybitego, a przyjaciel jego domyślał się, iż powodem troski jego są nowe wieści o aresztowaniu Heleny. Kobieta demon! Tak wyrażały się przecież o niej dzienniki, które musiał czytać rano.

W pewnej chwili Okęski ocknął się, jakby ze snu, chwycił przyjaciela za rękę i podprowadził go do portretu. — Czy widziałeś równie piękną kobietę? — zapytał. — Ten niewinny uśmiech, to szlachetne czoło, pełne powabu przechylenie głowy... Jeszcze piękniejsza, niż przed laty, kiedy byliśmy... razem.

Słowa te wymówił głuchym głosem, jakby zabrakło mu odwagi.

— Nigdy nie byłem jej godnym — dodał, odwracając się.

Przybysz nie mógł zapanować nad ogarniającem go uczuciem oburzenia. Przypomniał sobie cel swych odwiedzin. Nie patrząc na obraz, który go w istocie onieśmielał, zaczął mówić o żonie Okęskiego. Powtarzał jak wyrażano się o niej w towarzystwie, wspominał o przekleństwach i groźbach, przytaczał fakty, wiadome z dzienników i stawiające ją na równi z najgorszemi ladacznicami... Mówił, że pamięć o niej przyprawia o wstyd... że słowa czci i uwielbienia, z jakiemi zwraca się do niej Henryk, narażają go tylko na śmieszność, budzi tylko pogardę.

Jego dawna żona, a portret jej jest kłamstwem. Przedstawia Helenę taką, jaką nie była nigdy i jaką być nie mogła, z wszetenicy robi niewiniątko i z kobiety upadłej anioła.

Mówił z patosem, a Okęski słuchał go uważnie, zachowując zupełne milczenie. Czasami ciałem jego wstrząsał dreszcz, a czasem opuszczał głowę n a piersi, jakby nie mogąc znieść obelg. Garbił się pod brzemieniem świadomości wszystkiego złego, jakie przypisywano jego dawnej żonie.

Wzrok przybysza spoczął na twarzy Okęskiego... Była zalana łzami.

Przyjaciel jego podszedł i położył mu rękę na ramieniu. — Uspokój się — rzekł. — Czemu płaczesz? Przecież wiedziałeś o tem już dawno.

Okęski uśmiechnął się z goryczą.

— Widzę, że nie kochałeś nigdy całem sercem — rzekł. — Że marzenie nigdy nie przybrało dla ciebie żywych kształtów. Ale masz słuszność... Otworzyłeś mi oczy. Ten portret nie jest wcieleniem piękna. Przeciwnie, stał się symbolem fałszu i kłamstwa. Cóż z tego, że ona przekształcała się na nim w istotę coraz doskonalszą, coraz szlachetniejszą, coraz godniejszą podziwu? To był cud mojej miłości, któremu ty... któremu rzeczywistość zadała kłam. A tera: przyszedł koniec.

Zbliżył się do portretu i chwyciwszy za leżący na stoliczku nóż, przedarł nim płótno w kilku miejscach, niszcząc malowidło szybkiemi ruchami.

— Zabiłem ją i siebie! — rzekł.

I padł na krzesło, zalewając się łzami.

— — — — — — — — — — — —

Dziwnym zbiegiem okoliczności Helena Okęska umarła dnia tego z niewiadomej przyczyny. Mówiono o otruciu, ale śledztwo nie wyjaśniło tajemnicy jej zgonu. Umarł również i Henryk... umarł dla świata. Umarł z chwilą, kiedy odebrano mu jego marzenia i kiedy brutalne słowa przyjaciela wyzwoliły go z zaczarowanego kręgu rojeń o ukochanej kobiecie, której wspomnienie było jedynym celem jego życia.

Gdyby mnie ktoś zapytał, czy wierzę w to, aby przedmiot miłości, wyobrażony na płótnie, stawał się z upływem lat piękniejszy, powabniejszy i bardziej pożądany, nie wiedziałbym, co na to odpowiedzieć. To pewne jednak, że w oczach Okęskiego jego ukochana żona była coraz godniejszą uwielbienia, że widział w niej coraz więcej cnót i że stopniowo zbliżała się do ideału. Ale czaru tego dokonać mogła tylko jego wielka miłość. Miłość, która potężniała w miarę, im mniej wielbiona przez niego kobieta stawała się jej godną... jak budziła coraz większą pogardę i jak zyskiwała coraz więcej wrogów. On kochał ją zawsze taką, jaką ją widzieć pragnął, kochał ją jeszcze bardziej, kiedy odeszła, kiedy budziła wstręt i nienawiść, zdawało mu się bowiem, że przyjdzie chwila, gdy o życiu jej stanowić będzie tylko jego miłość... Biedny marzyciel, który nie chciał sprzeniewierzyć się ideałom, podeptać tego, co uznał za święte i który głosił kult swych świętości naprzekór całemu otoczeniu. Człowiek nie z tego świata!...

CZARNY CHARAKTER WŚRÓD PTAKÓW

Za wyjątkiem ptaków drapieżnych, dziennych i nocnych, jak jastrzębi, sokołów, krogulców, sów i inn., które rzucają się na żywą zdobycz i rozszarpują ją mocnym dziobem oraz ostrymi szponami, większość ptaków odznacza się łagodnem usposobieniem i niewinnym trybem życia.

Wyjątek wśród drobniejszego ptactwa stanowi dzierżka srokosz (Lanius ex cubiter), który prowadzi rozbójniczy żywot i może uchodzić za krwawego mordercę również wobec swoich skrzydlatych braci. Narzędzie jego zbrodni, którem szybko zabija ofiary, stanowi mocny dziób, zakończony haczykowato, którego górna szczęka wycięta jest w ostry ząb.

Ukryty w gałęziach drzew, czatuje w spokoju na swe ofiary i wypatruje je bystremi oczami. Na upatrzoną zdobycz rzuca się znienacka i zabija ją ostrym dziobem, niosąc ciepłe jeszcze i drgające ciało w pobliże swego gniazda, gdzie nabija je na kolce gałązek. Nie jest dzierżba srokosz dobrym lotnikiem, gdyż krótkie jego i zaokrąglone skrzydła nie pozwalają mu na szybki lot, to też zdobycz swą ściga nieraz długo i wytrwale, aż wreszcie w tej śmiertelnej gonitwie stanie się zwycięzcą.

Zdarza się, że dzierżba atakuje nieraz ptaki znacznie większe od siebie, jak np. osłabione głodem kuropatwy, które udaje mu się pokonać. Niejednokrotnie zaczepia ptaki silniejsze jak myszołowy i wrony, a nawet, mimo, że respektuje takie ptaki jak jastrzębie i sokoły, nie umie się nieraz powstrzymać od napaści na nie. Walkę jednak z tymi przeciwnikami zwykle przypłaca życiem. Niekiedy ucieka się do pods pu. Zamieszany w stadko wesołych wróbli siedzi razem z nimi, niczem nie zdradzając złych zamiarów. Gdy jednak któryś z nieostrożnych ptaków podejdzie zbyt blisko do niego, zrywa się gwałtownie, zadając mu śmiertelne rany.

Niesamowicie wygląda „spiżarnia" tego





Na prawo: Dzierżba - srokosz ze swoim łupem — nabitą na cierń myszą.

Na lewo: „Spiżarnia" dzierżby - srokosza, w której znajdują się przedewszystkiem chrząszcze i inne owady — ale również jaszczurka.



Oto jak krwiożerczy ptak konserwuje w swej spiżarni upolowaną mysz, nabijając ją na cierń.

drapieżnego ptaka. Pocóż gromadzi on tak wiele zapasów? Czyżby kierował nim krwiożerczy instynkt, czy też byłby tak troskliwym i przewidującym gospodarzem? Inna jest tego przyczyna. Oto pokarm, którym się żywi dzierżba srokosz zawiera w sobie wiele niestrawnych części chitynowych, pochodzących z pancerzy i skrzydeł owadów. Skupiają się one w żołądku ptaka, tworząc jak gdyby kluseczki, których w postaci tak zwanych zrzutków musi się ptak pozbyć, gdy ma zamiar jeść na nowo. Gdy jednak zdarza się okazja schwytania zdobyczy, a dzierżba nie chce jej pominąć, musi wobec tego nadmiar pokarmu, z którego na razie nie może skorzystać, przechować w swej oryginalnej spiżarni.

Czegoż tam nie ma? Oto nieszczęsne ofiary, nabite na ciernie, niby na pale, świadczą wymownie o morderczym instynkcie ptaka, który je upolował. Widnieją osy i trzmiele, pozbawione już żądeł, przebite przez środek tułowia, żaby zawieszone za dolną szczękę lub myszy powieszone za ucho! Nie brak też wśród zapasów mniejszych ptaków, jak wróbli i trznadli. O ile nie ma w pobliżu gniazda srokosza ciernistych krzewów głogu lub tarniny, zawiesza on swe ofiary głową na dół, w kątach gałązek.

Dzierżba srokosz gnieździ się w całej Polsce, chociaż nigdzie nie jest zbyt pospolity. Lubi szczególnie zagajniki sosnowe, w których się czuje najlepiej. Siedząc wysoko na gałęziach drzew, krzykliwym swym ostrzegawczym głosem zwraca uwagę innych ptaków, a nawet sarn i zajęcy, które umykają przed grożącem niebezpieczeństwem.

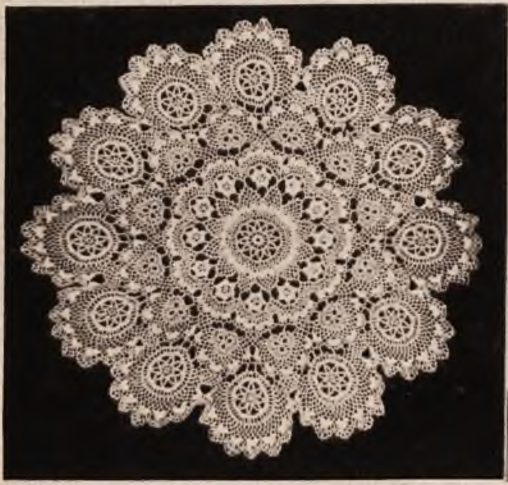
Dzierżba srokosz nazwę swą zawdzięcza pewnemu podobieństwu do sroki, zwłaszcza z wyglądu, pstrokatego upierzenia, długiego ogona i krótkich skrzydeł. Na zimę, dzierżby, które mieszkały u nas w kraju, w drują w okolice położone bardziej na zachód, a te, które w tym czasie ukazują się dość licznie są gośćmi, którzy przylecieli ze wschodu i północy.

Prócz dzierżby srokosza żyje na ziemiach polskich mniejszy od niego dzierżba gąsiorek, który zadowala się niemal samemi tylko owadami, przepadając za chrabąszczami i sprężykami. Tryb jego życia jest bardziej niewinny. Uchodzi on za mistrza w naśladowaniu głosów innych ptaków, a sam umie wydawać zarówno głosy krzykliwe, jak też i miłe dla ucha.

Wszystkie dzierżby mają cechy ptaków drapieżnych, srokosz jednak przewyższa je okrucieństwem. W sposobie zabijania ofiar i zadawaniu im mąk przez powolną i okrutną śmierć, nie ma dzierżba srokosz sobie równego.

Z. M.

Koronczarki śląskie i ich piękne rękodzieła



Koronka koniakowska odznacza się zarówno gustem, jak ciekawą techniką.

W polskiej sztuce ludowej koronka śląska zajmuje jedno z najprzedniejszych miejsc. Zdobyła powszechne uznanie, jako wytwór wybitnie artystyczny; weszła do mieszkań ludzi średniozamożnych i do wytwornych salonów; stroi swojem misternem wypracowaniem i oryginalnemi wzorami okna, łóżka, stoły, stoliki; ozdabia suknie pań pięknemi szydełkowemi i klockowemi kołnierzykami, rękawami; jest poszukiwana i ceniona.

Na Śląsku koronka jest ważną częścią ubioru kobiet, ubioru, który, jak wiadomo, słynie z bogatych przystrojeń koronkowych, a szczególnie z czepców, używanych w niektórych regjonach śląskich w postaci wysokich, drobniutko a przemyślnie szydełkowanych koron. Na organizowanych od czasu do czasu wystawach przemysłu ludowego koronka śląska wzbudza zawsze wielkie zainteresowanie, właśnie dzięki swoim charakterystycznym zaletom: oryginalności wzorów i artystycznemu wykonaniu. W ostatnich kilku latach popularność koronki śląskiej stała się naprawdę powszechną. Do wiosek podbeskidzkich, w których kwitnie ten przemysł, nadchodzą zamówienia z różnych stron świata. W Polsce niema już chyba miasta, miasteczka, gdzieby nie było chociaż kilku koronek śląskich. Wartość tych koronek zna napewno każda pani domu.

Koronkarstwo jest rozpowszechnione najwięcej na Śląsku Cieszyńskim. Największem uznaniem jednak cieszą się koronki, pochodzące z dwu najstarszych ognisk koronczarskich w Polsce, mianowicie: z Koniakowa, który wyrabia koronkę szydełkową i z Goleszowa, gdzie wyrabiana jest koronka klockowa. Obie te wioski: pierwsza — schowana w głębi Beskidu, wśród gór, na których krzyżują się dorzecza Wisły, Odry i Dunaju i druga — rozłożona szeroko w podgórskiej okolicy, są centralnemi ogniskami, wokół których znajdują się pomniejsze ośrodki koronczarskie. — I tak, koronkę szydełkową wyrabiają wszystkie wsie, leżące w wysokich Beskidach, a przedewszystkiem w Koniakowie, w Jaworzynce, w Istebnej. Koronka ta nazywana jest beskidzką, albo poprostu: koniakowską. Koronka klockowa ogniskuje się wokół Goleszowa w miateczkach i wsiach, leżących bliżej Cieszyna, jak Skoczów, Cisownica, Ustroń. Koronka ta znana jest pod nazwą klockowej, albo goleszowskiej.

Początki koronki śląskiej sięgają dość dawnych czasów. Nie są jednak, niestety, dokładnie znane i dlatego nie można ustalić, kiedy ta dziedzina sztuki ludowej weszła pod strzechy wsi śląskiej. Badacze tej sprawy, Agnieszka i Tadeusz Dobrowolscy, w dziele swojem o koronce, stroju i hafcie w województwie śląskiem, wydanym przez Polską Akademją Umiejętności w Krakowie, twierdzą, że europejski strój ludowy wraz z haftami i koronkami powstał pod wpływem kultury miejskiej, przyczem wzorem była tutaj moda baroku, a zwłaszcza rokoka. Moda ta, tworzona głównie na południu

Poniżej: W niektórych wsiach beskidzkich gaździny przędą grube motki nici by je następnie użyć przy wyrobie koronek



i zachodzie, we Włoszech i we Francji, miała zasięg uniwersalny, rozprzestrzeniając się na całą Europę i docierając także do Polski. Autorzy wspomnianego dzieła ustalili, że jeżeli chodzi o Polskę, to aczkolwiek koronka była tutaj znana już w szesnastym wieku, to jednak użycie jej było ograniczone do wyższych sfer społecznych. Do chaty ludowej koronka weszła znacznie później i tradycje tej koronki, jako dziedziny sztuki ludowej na Śląsku Cieszyńskim sięgają osiemnastego wieku, ale tylko w odniesieniu do koronki klockowej, goleszowskiej. Koronka szydełkowa powstała później, a przynajmniej badacze nie natrafili na ślady jej wcześniejszego pochodzenia.

Jeśli chcielibyśmy odpowiedzieć na pytanie dlaczego centrem koronkarstwa stał się Śląsk, a dokładnie ziemia cieszyńska, wystarczy, gdy w niedzielę staniemy przed którymkolwiek kościołem w stronach podbeskidzkich i przypatrzymy się wspaniałym strojom kobiecym, ozdobionym bogato pięknie haftowanemi koronkami. Przedewszystkiem uwagę naszą skierujemy na czepce koronkowe, nakrywające czoła kobet od połowy głowy, aż po brwi. Czepce te noszą tutaj mężatki, wdowy i t. zw. „słobodne panny" — kobiety niezamężne, a posiadające potomstwo. Dziewczęta noszą zamiast czepców delikatne a strojnie szydełkowane kołnierzyki, rękawy i różne inne koronkowe części ubioru. Na Śląsku wytwórczość koronek ma ścisły związek z ubiorem. Niewątpliwie, zanim koronka śląska stała się produktem zbytu, zanim zainteresowała panie i wielbicieli artystycznej sztuki ludowej, przedtem wyrabiana była tylko dla zaspokojenia własnych potrzeb Ślązaczek. Dziś oba gatunki koronek: koniakowska i klockowa wyszły z wsi śląskich i rozchodzą się po całym świecie. Sprzedaż została zorganizowana przez śląskie Towarzystwo popierania przemysłu ludowego, a dla zabezpieczenia gaździn-artystek przed wyzyskiem pośredników, towarzystwo to zakłada po wsiach spółdzielnie, które faktycznie ułatwiają pracę i umożliwiają zbyt po jako-tako znośnych cenach.



Inny wzór koronki koniakowskiej.

* * *

Koniaków. Centralne ognisko koronki śląskiej. Składamy wizytę najstarszej koronczarce koniakowskiej, mistrzyni w swoim fachu, pani Marji Legierskiej. Izba koronczarki, jak zresztą jej lokatorzy, jest typowa dla wsi beskidzkiej. Wielki pokój o trzech oknach. Na czarnej powale trzy grube belki tragarzy. Na środkowym tragarze rzeźbione ręcznie bogate ornamenty. Na ścianach przeszło dwadzieścia obrazów świętych, jeden wiszący za drugim. W rogu jednej ściany, na połowie jej wysokości, prowizoryczny ołtarzyk, jaki spotykamy tutaj w każdej chacie. Wokoło dużego stołu z kamienną płytą siedzą na ławkach koronczarki. Zeszły się u mistrzyni, jak zresztą zawsze, aby przy wspólnem umilaniu sobie czasu lepiej szła robota. W izbie jest kilkanaście koronczarek i kilka małych dziewczynek, które równie zgrabnie już szydełkują. Na kamienym stole leżą zwoje białych i kremowych nici. Nastrój jest pogodny. Kobiety nucą jakąś swojską melodję. Wesoła piosenka, żyjąca od wieków we wsiach, rozsiadłych w Beskidzie, uprzyjemnia długie godziny mozolnej pracy. Koronczarki koniakowskie, jak ich piosenka, są wesołe, pełne werwy, życia.

— Czy u was zawsze tak wesoło? — pytamy.

Kobiety śmieją się i odpowiadają. Jedna przez drugą. Mówią w swojej gwarze góralskiej, że w Koniakowie taki już jest, od lat, zwyczaj, że młodsze koronczarki zbierają się u starszej i szydełkują wspólnie, radząc wspólnie nad wzorami koronek. A to są ważne narady! Bo przecież w tem tkwi największa wartość koronki koniakowskiej, że każda ma inny wzór, inny motyw. Wprawdzie wciąż robi się „japka", „różiczki", „kralki", „dębowe listki", „obłączki", „półmiesiączki" i inne zasadnicze rodzaje koronek, ale każda jest inna, każda inaczej zrobiona, inaczej wykombinowana.

Wzór swojej koronki — mówi mistrzyni koniakowska, Legierska — każda z nas musi wymyślić sama...

Oglądamy koronki i szczerze podziwiamy misterność ich wykonania.

— Jak długo szydełkujecie taką jedną serwetkę? — zapytujemy dalej. Koronczarki odpowiadają głośno i jednakowo. — Aha, mówicie więc, że cały dzień! Cały dzień, od czwartej rano do dwunastej w nocy. To bardzo długo. Ale i dlatego koronka jest piękna...

Z przyjemnością patrzymy na te arcydzieła kobiet koniakowskich. I podziwiamy cierpliwość tych kobiet. Ale ogarnia nas szczere zdumienie i zdziwienie, gdy koronczarki opowiadają, że za taką koronkę, robioną od czwartej rano do dwunastej w nocy, bez żadnej przerwy, otrzymują zaledwie 75 groszy. (Siedemdziesiąt pięć groszy!). A ta sama koronka, przedawana nam w miastach, kosztuje 6 do 10 złotych. Najwyższy zarobek miesięczny koronczarki przy jej ciągłem szydełkowaniu nie przekroczy nigdy 15 złotych.

W Koniakowie i we wszystkich wioskach okolicznych szydełkują wszystkie bez wyjątku kobiety. W każdej izbie są koronczarki. W jednym tylko Koniakowie paręset kobiet robi koronki na sprzedaż. Nawet dzieci szydełkują. Nawet mężczyźni, którzy parają się rzeźbą w drzewie coraz częściej biorą w dłonie szydełko... Zasadniczo jednak zarobkują w tych stronach podbeskidzkich tylko kobiety. I dlatego normalnie funkcje domowe kobiet spełniają we wszystkich chatach mężczyźni. I spełniają zupełnie dobrze. Gotują, myją, szorują, piorą, krowy doją, opiekują się dziećmi, izbę omiatają. A w wolnych chwilach — rzeźbią...

Jak przedstawia się sprawa zbytu koronki? Zagadnienie to wiąże się z niezwykle małem wynagrodzeniem za tak żmudną pracę. Doniedawna jeszcze koronczarki same zajmowały się sprzedażą koronek. Odnosiły koronki do hurtowników w Wiśle i w Skoczowie i stąd dopiero koronki wysyłane były w świat. Obecnie jednak we wsiach koronczarskich powstały spółdzielnie. Spółdzielnia taka powstała też i w Koniakowie. W spółdzielniach zorganizowały się wszystkie koronczarki. Najlepiej wyszła na tem przedewszystkiem artystyczna koronka koniakowska. Spółdzielnia w Koniakowie, choć pracuje zaledwie kilka miesięcy, zarejestrowała już w swojej kartotece eksportowej odbiorców w Francji, we Włoszech, w Stanach Zjednoczonych A. P., w Brazylji, nawet w Chinach. Specjalna komisja artystyczna, na której czele stoi góralka, pani Marja Waszutowa, dba oto, aby z Koniakowa wychodziła koronka wykonana istotnie artystycznie. Jest też nadzieja, że dzięki spółdzielni, praca koronczarek będzie lepiej nieco opłacana.

To wszystko dotyczy koronki szydełkowej.



Różne wzory koronek goleszowskich.

Mamy jednak jeszcze koronkę klockową, której centralnem ogniskiem jest, jak już wspomnieliśmy, Goleszów. Koronka goleszowska, starsza w swojem pochodzeniu od szydełkowej, jest wyrobem równie artystycznym, jak jej siostrzyca koniakowska. Gdy narzędziem pracy koronki koniakowskiej jest szydełko, koronczarka goleszowska potrzebuje całego „warsztatu", składającego się z małego stolika, na którym umieszczony jest wałek, oraz kilkunastu i więcej par klocków. Koronczarki goleszowskie również założyły własną spółdzielnię, która, podobnie jak koronczarkom koniakowskim, przynosi już pozytywne efekty.

* * *

Powróćmy jeszcze na chwilę do koronki szydełkowej. Wprawdzie praca przy szydełkowaniu trwa cały dzień, najlepiej pracuje się wieczorem. U starszych koronczarek zbiera się kobiet i mężczyzn, ile izba pomieści. Gaździnki, jak zwykle, zasiadają z szydełkami naokoło stołu. Górale zajmują ławy pod ścianami. Niektóry przyniesie z sobą skrzypki, harmonję albo kobzę, nazywaną tutaj gajdą. Na długim drucie, zahaczonym u czarnego tragarza powału, wisi lampa naftowa z dobrze wykręconym knotem. Kobiety zrazu nucą cicho jakąś melodję góralską. Podchwytuje tę melodję muzykant. Najpierw część obecnych dołącza się do piosenki. Potem śpiewają wszyscy. Muzykanci grają.

Ale nie nadarmo do izby przyszło kilku śwarnych chłopców. Jeden i drugi wstaje, zaprasza do tańca dłubiącą szydełkiem dziewczynę. Jaka taka odkłada na chwilę szydełko i idzie z chłopakiem w tany. A wszyscy śpiewają. A muzykanci grają...

Wszystkie twarze wesołe, roześmiane. A jakie wspaniałe ubiory beskidzkie na tańczących parach! Gaździny w pięknych, kolorowych kabotkach z haftowanemi karczkami — obujkami i rękawami — lemieczkami. Fartuchy czarne, drobniutko pofałdowane, z koronką u dołu. Górale w czerwonych kamizelach — bruclikach z dwu rzędami białych, wielkich guzów, obok których z góry na dół pasy wyszycia z wielbłądziego włosia, najczęściej imitowanego. Wełniane, szare nogawice, przepasane szerokim pasem rzemiennym i miękkie kierpce, zamiast butów, osznurowane na nogach kolorowemi notkończami. Wesoło jest, bardzo wesoło. Przy śmiechu, śpiewie, muzyce i tańcu łatwiej idzie szydełkowanie...

Wacław Śledziński.



Przewodnicząca komisji artystycznej spółdzielni koronczarskiej w Koniakowie góralka Marja Waszutowa w swym oryginalnym stroju.

Poniżej: Rodzina góralska w Koniakowie.





Ciekawą powierzchownością odznacza się najstarszy góral koniakowski.

Nie ulega wątpliwości, że egzamin i jego antecedencje stanowią w życiu studenta czy studentki okres największych **emocyj**. Dobrze jest, jeśli **kończy się on** szczęśliwie, a więc zdaniem egzaminu. **Wówczas** radość nie ma granic i wyładowuje się często **w** zabawie, która w ciągu roku szkolnego nie uchodzi. Ale po egzaminie **wszystko wolno** tym, którzy złożyli dowody, że studja uniwersyteckie traktowali rzetelnie. Studenci chętnie korzystają **z** tego niepisanego prawa, wzorując się w innych krajach na swych kolegach **z** angielskich colledges, którzy w okresie swego święta dosłownie panują w miasteczku — siedzibie uniwersytetu, narzucając jego mieszkańcom swą wolę, często objawiającą się w ekstrawaganckich **pomysłach**. — Co kraj, to obyczaj — i dlatego studenci różnych krajów różnie obchodzą swe święto ukończenia studjów rocznych. W Szwecji, na uniwersytecie w Upsali okres egzaminów **zbiega się z** „świętem wiosny", podczas którego odbywają się uroczyste pochody przez ulice miasta, festyny i inne imprezy. Przypominają one **wprawdzie** wzory angielskie, jednak dalekie **są od** nich, jeśli chodzi o rodzaj i wszechstronność **objawów** radości. Studenci szwedzcy szczycą się bowiem umiarem **w** zabawie, co zresztą leży **w** charakterze ich nacji, a jeśli nawet pozwolą sobie przy końcu roku na więcej **swobody** i **beztroski**, to robić to będą z wdziękiem młodości i poprawnością formy.

Poniżej: Studentki, które zdały egzamin, pokazują się na tarasie, informując w ten sposób czekających przed gmachem rodziców o szczęśliwym wyniku.





„Celująca" wędruje na ramionach kolegów przez ulice Upsali.

Wszystkie zdjęcia: …nar Lundh — Sztokholm



W „pochodzie wiosny" niesie się różnokolorowe balony i ukwiecone pastorały.



Wyjazd po egzaminie wygląda dopiero wytwornie w konnym ekwipażu.

ZDALIŚMY EGZAMIN!

Na prawo: Studenci nie szczędzą koleżankom i tego rodzaju objawów radości.





Oto „pobojowisko" po przejściu pochodu studentek i studentów.

Poniżej: Pierwsze szeregi zawiązującego się pochodu przed gmachem uniwersytetu.



Dzień markizy



Na lewo: Ogrody tuileryjskie były w XVIII wieku ulubionem miejscem rozrywek wielkiego świata.

Poniżej: W salonie pani de Lambert odbywały się uczone dyskusje.



„Tego oto dnia 20 lutego 1732 roku ukończyłam 25 lat mego życia" — pisze w swych pamiętnikach pełnych wdzięku i humoru markiza de Lézand.

W owym czasie, po burzliwym okresie Regencji, młody Ludwik xV, szczęśliwy małżonek Marji Leszczyńskiej, panował wspomagany przez swego ministra kardynała Fleury, który utrzymując pokój na zewnątrz państwa, a ład i porządek na wewnątrz, rządził z łagodnością duchownego i z przezornością starca. Obyczaje, choć pozostały dość swobodne, przestały być rozwiązłymi. Rozum, dowcip i piękna konwersacja panowały w modnych salonach, które nadając ton, dyktowały upodobania, narzucały wierzenia i urabiały wszechwładną opinję.

Helena de L'Espy starannie wychowana w pensjonacie Saint-Cyr, ostatniem ukochaniu pani de Maintenon, morganatycznej wdowy po Ludwiku XIV, wyniosła stamtąd trwałe podstawy wykształcenia i charakteru. Później pod wpływem swej przyjaciółki, choć znacznie starszej, pani de Lambert, która wbrew opinji Moliera, uważała, że kobieta ma prawo myśleć, a nawet pisać, stała się jedną z wyroczni ówczesnego towarzystwa, tak pod względem umysłowym, jak i artystycznym wogóle.

Wydana za mąż w szesnastym roku życia za markiza de Lézand, pani Helena nie znalazła w tym związku spodziewanego szczęścia. Mąż jej, uważając iż miłość w małżeństwie jest rzeczą śmieszną, nie troszczył się zbytnio o swą żonę, pozostawiając jej zupełną swobodę, której ona jednak nie myślała nadużywać, będąc z gruntu uczciwą.

W swym pałacu przy ulicy Malaquais budzi się markiza. Służące przygotowują toaletę poranną. Jest dość późno, około 10-ej rano, bo pani wróciła wczoraj do domu o północy. Zimowe słońce oświeca duży pokój sypialny, którego wykwintne urządzenie wykazuje już początki nowego stylu. Symetrja i szlachetność linji, tak charakterystyczne dla minionej epoki króla Słońce, wychodzą z mody. Przejawia się skłonność do urozmaicenia, do wyjścia z jednostajności, do odprężenia form sztywnych. Łuki zastępują kąty, przybierając poważne, pełne nieoczekiwanych asymetryczności linje.

Na ścianach obitych jasnemi, kolorowemi materjami, w złoconych, wdzięcznie powyginanych ramach, błyszczą lustra, lub wabią oko wesołymi barwami piękne obrazy, w których na tle sielskiego pejzażu tańczą pasterki i pasterze w otoczeniu białych owieczek.

Oto markiza siedzi przed toaletą, a służące układają jej fryzurę. Już dawno minęła moda wysokich peruk, obecnie panie czeszą się okalając głowę pięknymi lokami i umieszczając we włosach jedynie wstążkę, klejnot lub mały koronkowy czepeczek.

Następuje ważna część toalety: nałożenie szminki, a potem trzeba przylepić muszkę, która daje „osobowość wyrazowi twarzy", wyrażając humor i usposobienie pani w danym czasie. Muszka umieszczona na skroni zwie się „morderczą", na środku czoła — „wspaniałą", w dołeczku na policzku — „wesołą", a na górnej wardze — „kokietką".

W zeszłem stuleciu pani de Sévigné w swej masywnej, świeżej, zdrowej postaci realizowała ówczesny typ piękności. Za Ludwika XV „bardzo kochanego", moda stawia znacznie większe wymagania. Panie muszą dbać o swą linję. Owal twarzy ma być wydłużony, nosek cienki i cokolwiek zadarty, buzia mała, oczy duże, szyja gibka, tak jak Watteau formował swoją Finettę. Taką jest potęga mody, która kształtuje kobiety wedle swych wymogów.

Zaczyna się rozpowszechniać zwyczaj przyjmowania podczas toalety porannej bardziej zażyłych przyjaciół. Gdy pani włoży suknię jedwabną zwykle jasnego, żywego koloru, bardzo szeroką, z wciętą talją i długą kontrafałdą, która spływa z tyłu od karczka aż po rąbek spódniczki, „skwapliwi" są dopuszczani do składania swych hołdów. Jeśli mąż pięknej pani ma dość taktu, oto moment, w którym złoży wizytę swej żonie. Młoda markiza chętnie widywałaby częściej i dłużej swego małżonka, jednak ten wyśmiałaby podobne żądania. — „Mąż kochany, cóż to za małostkowość, co za dziwactwo, do tego rodzaju uczuć nie można się przyznawać".

Piękna pani nieśmiało zapytała — „cóż w tem złego?"

„W każdym razie jest to śmieszne" — odparł sucho mąż.

Po ukończeniu toalety markiza każe przyprowadzić swe dzieci. Syn wchodzi wraz z guwernerem i składa głęboki ukłon. Córka całuje matkę pod brodę, aby nie zamazać szminki.

Pani de Lézand jest gotową, otula się w obszerny, fałdzisty płaszcz i każe przynieść swoją lektykę, gdyż ma zamiar odwiedzić przyjaciółkę panią de Lambert.

Przez wąskie, ostremi kamieniami wybrukowane ulice ówczesnego Paryża, dwaj wygalonowani lokaje niosą lektykę pani de Lézand do pałacyku „hotel Lambert", który w sto lat później stanie się jednym z ważniejszych ognisk emigracji polskiej, jako rezydencja ks. Adama Czartoryskiego, byłego naczelnika rządu narodowego 1831 r.

W salonie, do którego weszła pani Helena, zebrało się liczne towarzystwo. Otoczony przez piękne kobiety, stary Fontenelle odczytywał rozdziały swego dzieła „O Wielokrotności Światów", tłomacząc niektóre ustępy na ogromnym globusie, przedstawiającym sferę niebieską. Jego nierozłączny towarzysz, choć znacznie młodszy — Marivaux, zapoznawał otoczenie ze swym celniejszym utworem „Gra miłości i przypadku". Po odczytaniu poszczególnych ustępów następowała drobiazgowa dyskusja. Pod światłem kierownictwem pani domu zabierano głos, rozważano dopiero co usłyszane zdania, nie wahając się przed roztrząsaniem zagadnień astronomiczno-matematycznych, bądź też rozprawiano o kwestjach filozofji lub uczucia.

Dokończenie na str. 26-ej



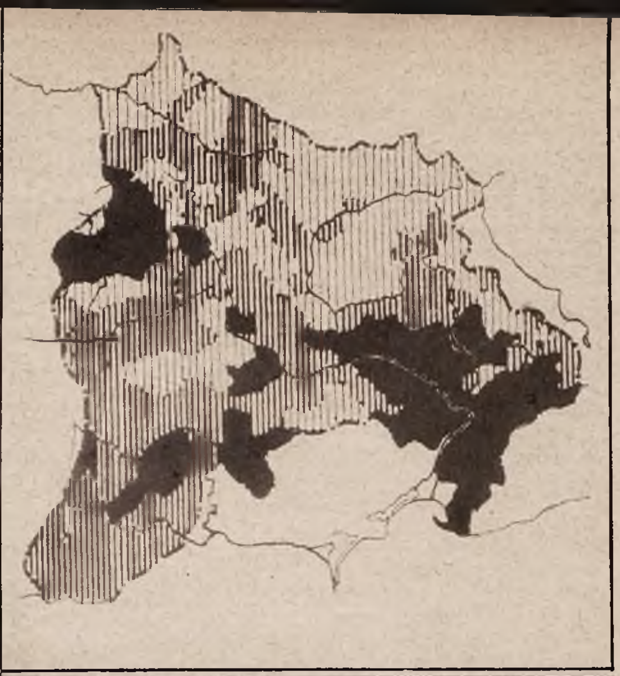
Na prawo: Poranna toaleta wykwintnej damy w XVIII wieku.

Szaleństwa rasistyczne, jakie dzisiejszy świat uprawia, a w których celują Niemcy, kuszą, by poddać rozważaniu, nie tylko sam proceder rasistycznego myślenia, ale i jego rzeczywisty przedmiot, to jest, rasę, w jej znaczeniu przedewszystkiem antropologicznem. Rasa jest pojęciem systematyki, rozumiemy przez nią zespół cech fizycznych, niezmiennych, pozwalających na odróżnienie osobników, których dzięki temu zespołowi cech możemy zaliczyć do jednej grupy. Odróżnianie ras posiada charakter umowny, opierając się na ocenie zewnętrznego, fizycznego podobieństwa.

Wielki kpiarz, Bernard Shaw, wypowiadając się na temat rasizmu i „oczyszczających" eksperymentów Hitlera, powiada, że mimo odrazy do Żydów nie mógł on ustrzec się naśladowania ich metod i mentalności, robiąc z nordyjczyków rasę wybraną o posłannictwie podobnem, jakie sobie przypisują Żydzi. Uważając ich teorje rasistyczne, a zwłaszcza wnioski, jakie z nich wyciągają, za dziecinne i pseudo naukowe, zauważa, że wypędzając Einsteina i konfiskując jego majątek, dali tem najgłupszą miarę swoiście pojmowanego mesjanizmu i wywołali w naprawdę cywilizowanym świecie wrażenie,



Wielki myśliciel grecki Sokrates należał do typu suplaponoidalnego.



Na prawo: Mapka rozmieszczenia rasy nordyckiej w Polsce. Pola czarne oznaczają strefy bezwzględnej przewagi, — grubo kreskowane, względnej przewagi, — cienko kreskowane, mniejszości rasy nordyckiej.

HYDROGRAFJA „BŁĘKITNEJ KRWI" W EUROPIE







Od lewej: Reprezentanci rasy laponoidalnej. — Na prawo: Lapończyk szwedzki typu laponoidalnego.
Wszystkie ilustracje: Z dzieła dr. Czekanowskiego „Człowiek w czasie i przestrzeni".

równe efektowi spalenia dziś na stosie czarownicy. Z okazji zakazu małżeństw mieszanych (Niemców „czystej krwi" z Żydami) zauważa złośliwie, że przecież tak zwane czyste rasy, to dekadencja, a jej najlepszym przykładem arystokracja angielska. Tę pigułkę zachował na ostatek, by nie być posądzonym o stronniczość i szowinizm. Owszem, jeśli widzi śmieszne strony w Niemczech, widzi je, może nawet z podwójną złośliwością i we własnym narodzie — nie będzie się bawił w „splendid isolation" doskonałości, na to jest za inteligentny i ma za wielkie poczucie humoru. Zetknięcie się z pogodną, mądrą „humanitas" Shaw'a nastawi nas przychylniej i objektywniej do tego tematu, tak przez różne barbarzyństwa, odbywające się na rachunek rasy.

Walka o „błękitną krew" (niebieskie żyłki, przeglądające przez jasną skórę nordyjczyków) jest wyrazem rasizmu, to jest poglądu na życie, w którem najwyższą wartością jest rasa. Jedynem etycznem kryterjum w tym wypadku będzie jej dobro, a że może ono zawieść na manowce, nic wspólnego z etyką nie mające, to nie tylko jasne, ale i dowiedzione.

Człowiek, dodajmy nordyjczyk, a więc wysoki, smukły blondyn o wąskich dłoniach i stopach, białej skórze o różowym odcieniu, niebieskich oczach, prostym nosie i podłużnej głowie i twarzy, to ideał, którego okazów Niemcy (we własnem mniemaniu naturalnie) posiadają najwięcej, a jeśliby dostatecznej ilości nie było, to należy go za wszelką cenę wyhodować, oczyściwszy pole z chwastów. Mniejsza o metody tego oczyszczania: — najlepszy byłby ogień, ale cóż, kiedy nie zawsze można go zastosować bez obawy lynchu ze strony ewentualnych spektatorów i wobec świadomości, co prawda dość rzadko przychodzącej do głosu, że znowu tak na amen nie tkwimy w klimacie moralnym średniowiecza i „auto da fé", zastosowane choćby dla nordyzacji wielkiego narodu, wykonane na „chwastach" mogłoby się nie podobać pewnej liczbie wpływowych ludzi, czy narodów, zaliczających się do chlubiącego się swym humanitaryzmem XX wieku.

Chwastem zaś według teoryj rasistycznych jest każdy inny typ antropologiczny, mieszaniec, w którym procent nordyjskiego elementu jest nikły lub żaden. Taki nędzny typ (orjentalny przypuśćmy) nie jest zdolny nie tylko do wytwarzania, ale nawet do zachowania wartości lub i dóbr kulturalnych!

Ariowie, którzy dla rasistów są synonimem nordyjczyków, w rzeczywistości wyróżniają się wśród innych ludów indoeuropejskich, słabą domieszką rasy nordyjskiej. Nie potykając się bynajmniej o ten szkopuł (tylko(!) naukowej natury) raźnym krokiem zmierzają ku wzniosłemu ideałowi „ubłękitnienia" krwi swego narodu), ograniczając w jego imię prawa obywatelskie pewnej części ludności, ponieważ skwalifikowano ją jako szkodliwą rasowo. Stat pro ratione — Voluntas.

Najkonieczniejszem jest w tej sprawie to, że gdyby nie zamykali oczu na pewne prawdy, mogliby się nabawić kompleksu niższości, stwierdziwszy, że stosunkowo do liczby ludności element nordyjski jest w Polsce bodaj że liczniej reprezentowany, niż w Niemczech; co namiętnego rasistę, a do tego szowinistę, może przecież wprawić w szał.

Mapka przedstawiająca udział elementu nordycznego w życiu Europy nie nastawiłaby nas optymistycznie co do jej losów, gdybyśmy ulegli nagminnie światopoglądowi rasistycznemu. Mapka ta uwidacznia największe nasilenie występowania 4 głównych ras i trzech pochodnych typów antropologicznych, stwierdzając poza tem, jak bardzo mieszany jest charakter rasowy Europy. Smętne wnioski musielibyśmy wysnuć na temat stanu i przyszłości kultury, uwzględniwszy zastrzeżenia rasistów co do wyłączności twórczej nordyjczyków w zestawieniu z ich stosunkowo szczupłem na terenie Europy występowaniem. Nordyjczykom, śmietance rasowej Europy, przypadają przedewszystkiem kraje wokół morza Północnego i Bałtyckiego, dorzecze górnego Dniepru i obszary na północ od niego. Poza tem ten pełen wrodzonej ekspansji element rozpostarł się w całej Europie w mniejszej lub większej mierze, jego dziełem były podboje na terenie naszego kontynentu i w innych częściach świata. Antropologicznym dowodem tego jest nordyjska arystokracja wielu krajów, choćby hiszpańska, powstała na ciemnowłosem śniadoskórem, śródziemnomorsko-afrykańskiem tle, u której ten element jest liczniejszy, niż w warstwach niższych tego samego narodu ujarzmionego, kiedyś przez tych jasnoskórych, niebieskookich najeźdźców.

I we Francji bardzo ostro zaznacza się kontrast między jej szlachtą, utworzoną przez germański szczep Franków, a masami ludności. Nordyjscy Frankowie zdobyli zromanizowaną Galję, umieściwszy się prawem zwycięzcy, jako śmietanka, na jej wierzchu. Szlachta francuska do dziś (czy z tych samych powodów i z tym samym efektem co u współplemieńców Shaw'a?) wyróżnia się wysokim odsetkiem nordyków. Jakież pole możnaby dać domysłom na temat satysfakcji w zemście śródziemnomorców, laponoidów i armenoidów francuskiego ludu, który krwawo w Wielkiej Rewolucji zapłacił smukłonogim blondynom, za tylowiekową supremację nad „rasą niższą"! Po rewolucji pole nordyjskie się zwęziło, przybyło mieszańców, krew warstw wyższych rozcieńczała się coraz bardziej. Przewagę biologiczną miały warstwy niższe, antropo-

bogactwa „posiadaczy" wszelkich innych dóbr ziemskich. Mapka stwierdza ten zagmatwany stan antropologiczny „słodkiej Francji".

Nad brzegami morza Śródziemnego leżące kraje mają przewagę elementu śródziemnomorskiego, najliczniej reprezentowanego na zachodzie i wyspach, oraz na atlantyckiem wybrzeżu Europy (n. p. w zach. partji W. Brytanji). I stepowa część Europy wschodniej, na zachód od Donu, miała dawniej przewagę tej rasy — zmiany w nasileniu i rozprzestrzenieniu elementu śródziemnomorskiego wprowadziła tam kolonizacja słowiańska (a więc nordyjska), napierająca od północnego zachodu. Gdzie Słowianie nie doszli w wielkiej masie i sile, tam charakter śródziemnomorski terytorjum zachował się wyraźniej, bo element napływowy, obcy, ograniczył się do asymilacji kulturalnej mas ludności tubylczej czarnowłosej i ciemnookiej, nie osiągając jednak przewagi biologicznej. Dlatego częściej i silniej charakter antropologiczny ludności śródziemnomorskiej zachował się w strefie czarnomorskiej, skąd rozszerza się na Bałkan, obejmując Rumunję, Bułgarję, brzegi Grecji i wyspy. W strefie przewagi rasy śródziemnomorskiej, a zwłaszcza na jej wschodzie napotykamy osad w postaci azjatyckich koczowników, buszujących po stepach Europy wsch. Widzimy go w postaci typów paleoazjatyckiego, pacyficznego, centralno-azj. i arktycznego, spotykanych przedewszystkiem u ludów europejskich, znanych pod nazwą grup ugrofińskich i turko-tatarskich. Zasięg ich i znaczenie stale się kurczą.

Nie ulega wątpliwości, że rasom fizycznym odpowiadają cechy psychiczne, a tym znowu różna rola, którą dane narody odegrały w dziejach kultury. Ten odrębny ton i barwę słyszymy i widzimy, rozpatrując ich dzieła w jakiejkolwiek dziedzinie. Przecenianie znaczenia nordyjczyków w kulturze ogólno-ludzkiej, ze względu na łoskot, jaki czyniła ich ekspansja, zmusza do zastanowienia się nad rolą morza Śródziemnego, tak jednomyślnie nazwanego kolebką cywilizacji. U tych brzegów, obsiadłych przez czarnookich, niskorosłych, żywych śródziemnomorców, czerpaliśmy skarby najpiękniejszych, najbardziej harmonijnych kultur, nim zakwitły one u nas, nad naszemi zielonemi, chłodnemi wodami.

To jednak, co otaczamy po dziś dzień niesłabnącem uwielbieniem i podziwem — kultura grecka — to dzieło narodu o przewadze rasy nordyckiej, starożytnych Hellenów, przez długi czas izolujących się od podbitych tubylców i w składzie swym rasowym bardzo podobnych do wczesno historycznych Słowian. Ta przewaga rasy nordyckiej i ustosunkowanie pozostałych składników: śródziemnomorskiego i armenoidalnego świadczy, że musieli oni przyjść z środkowej Europy w II wieku po Chr. i Połabian wykazują identyczne proporcje tych trzech składników, jakie stwierdzono również u Jończyków ateńskich z IV i III wieku przed Chr., czy Achajów. W późniejszych okresach ich skład rasowy rozszczepia się na dwa rozbieżne kierunki: śródziemnomorski na wyspach i armenoidalny na kontynencie i wybrzeżach Azji Mniejszej.

Wtedy już przymieszka nordyczna schodzi na drugie miejsce co do swej siły liczebnej. Nie przeszkadza to wcale, by przy zachowaniu tego schematu dla całego narodu stwierdzić w Sokratesie, wykwicie ducha greckiego, typ sublaponoidalny, albo presłowiański, nie mający wiele wspólnego ze smukłym, wykwintnym pod względem fizycznym, nordyjczykiem, pominąwszy już brzydotę tego filozofa i... nieszczęśliwy pomysł ożenienia się z przysłowiową Ksantypą.

Świadectwo nordyckiej urody Greków daje Homer w swych opisach bohaterów i bogów: jasnowłosych i jasnookich, a Adamantios, pisarz z V w. po Chr., podkreślając zasadnicze nordyckie cechy późniejszych Hellenów, chwali ich „usta piękne, nos prosty, oczy błyszczące z potężnym wzrokiem" i dodaje: „są oni narodem z najpiękniejszemi oczami w równej mierze na kontynencie europejskim, jak azjatyckim". Czyli, że poza „błękitną krwią" my, nordyjczycy, mamy jeszcze „najpiękniejsze oczy świata"! Do siły praojców Wikingów hulających za zdobyczą na dziobatych łodziach dodamy wdzięk! Któż nam się oprze? Nie znaczy to wcale, że z powodu tych pięknych zalet i z braku tychże u innych ludzi wolno nam palić na stosie, choćby w znaczeniu przenośnem „czarownic" czy „czarowników" o... typie orjentalnym na przykład, którzy, wracając do naszej „mapki antropologicznych terytorjów Europy" znajdziemy najsilniej rozkrzewiony w swej czystej postac na najbardziej południowym pasie półwyspu Pirenejskiego, na ogólnem tle śródziemnomorskiem, poza tem ogromnie rozproszony po całej Europie w ludności żydowskiej i kartograficznie nieuchwytnej.

Między temi dwiema silnie zaznaczonemi, północy i południa trzymającemi się rasami nordycką u zielonych i śródziemnomorską — u modrych mórz, mamy obszar mieszany o różnym procencie elementu nor-

wadze rasy lapo- i armenoidalnej. Laponoidalna rasa zaznacza się silniej i wyraźniej w północnych partjach tego obszaru (u nas Karpaty zachodnie, Niemcy środkowe i połudn. część masywu francuskiego), a armenoidalna przeważa w południowej, obejmując zach. część półw. Bałkańskiego, Siedmiogród i sąsiadujące z nimi Karpaty wschodnie i części masywu centralnego, wiele razy pojawiając się też w krajach alpejskich.

Armenoidzi, jak wiadomo (i jak widać z fotografji) odznaczają się niezwykłym nosem, co do którego wdzięku i urody można by się spierać.

Zakończyć można całą wynikłą dyskusję ustępliwem „de gustibus non est disputandum", gdyż istotnie to piękne, co się komu podoba. A wiemy z własiego doświadczenia, jak się nieraz zdumiewamy, że coś lub ktoś mógł się nam tak ongiś podobać. Więc „coś" kierowało naszemi sądami, a z chwilą kiedy nam dopiekło czy się znudziło, zmieniamy nasz sąd na niekorzyść, przedtem lubianego czy obojętnego przedmiotu. Kierując się różnemi urazami psychicznemi i przesądami kwalifikujemy „nos żydowski" ujemnie, chociaż jest on nieraz zgrabniejszy od armeńskiego i nie tak niesamowity, jak u naszych lwowskich Ormian, przedstawicieli rasy armenoidalnej, którym poza tem przypisuje się, jak i Grekom (Nordyjczykom z najpiękniejszemi oczami i błękitną krwią), że kłamią przysłowiowo.

W bardzo grubych zarysach przedstawia się Europa z punktu widzenia antropologicznego jako obszar ujęty z północy w pas jasnej ludności nordyjskiej (wysokiej, jasnoskórej, niebiesko-okiej, jasno-włosej) i pas ciemnej, południowej ludności śródziemnomorskiej (ciemnowłosej, ciemnookiej, o niskim wzroście), w środku zaś galimatjas utkany z czterech ras i trzech typów.

Duch ekspansji stał się dla Niemców synonimem nordyjskości: ograniczają ją do tego



Reprezentanci rasy nordyckiej.

w dziedzinie psychicznej, zapominając, że największą rolę i najwyższy efekt dawało dopiero połączenie ras nord. i śródziemn. n. p. w Rzymie w czasie jego najwyższej ekspansji, u Słowian wschodnich, u Greków w najświetniejszym okresie. Połączenie to stanowiło dopiero najsilniejszy materjał wybuchowy.

Najczystszy element nordyjski, w 75 procentach nie spotykanym gdzieindziej w Europie, mają Szwedzi i Norwegowie, a nie oni to urządzają „czystkę rasową". Zachowują się, jak pewny swej dobrej krwi arystokrata, t. j. nie myślą o tem i nie zajmują problemami swego pochodzenia drugich. Nasuwa się więc z tej samej dziedziny porównanie zastosowane do drugiej strony: plebejusza, pieniącego się, że jego świeżo upieczonemu szlachectwu nie oddano należnych honorów, a tu fałszowane czy naciągana tylko statystyka nie wystarcza, gdyż „l'habit ne fait pas le moine".

Mgr Wanda Komorowska.



Nad stawem

Fot. Schostal.

PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA"

PANI LUCYNIE SZCZEPAŃSKIEJ POŚWIĘCONE

To baśń minionych lat

WALC ANGIELSKI

Słowa:
ZBIGNIEW KRUKOWSKI

Muzyka:
ALOJZY ZAREMBA





WITOLD ZECHENTER

Jedna piosenka

NOWELA

I tak codziennie. Najszybszym krokiem przez błoto, przez śnieg czy przez kurz. Z wilgotnego domku na przedmieściu przez drogę, ścieżki — na twarde trotuary miasta. I potem echem ściętych obcasów uciążliwie, byle szybciej, byle się nie spóźnić, po kratkach szarych chodników, mimo wygodnych aut, mimo szumiących łodzi niebieskich tramwajów.

Bo spóźnić się nie wolno. Równo z uderzeniem ósmej przy okienku. A tam już zawsze ktoś. Znaczek za piętnaście. Dwa przekazy. Trzy znaczki po dwadzieścia pięć.

Szumiąca hala, ludzie tłoczący się w okienku, coraz inna twarz, inny głos — wszystko obce, obojętne, wszystko wrogie, niechętne, nerwowe. Tyle godzin, tyle znaczków, tyle przekazów.

Codziennie.

Zakratowane okno wychodzi na małe podwórko. Z garażu tędy przejeżdżają pocztowe auta, trzaskają motocykle, człapią konie.

Dwa przekazy. Czy ten list nie przeważa? Polecone — nie, to w następnem okienku.

Co też teraz Jagódka? Znowu z tym brzuszkiem. Biedactwo, wciąż słabuje. Jakże nie ma słabować? Nie, to następne okienko. Czy nie zapomniał dać lekarstwa? Na druki pięć groszy. Ile? cztery...

— Pani Stefa znowu coś nam blada dzisiaj — żartuje kolega z okienka zagranicznych. On ma zawsze dużo czasu — mało kto teraz zagranicę polecone wysyła. Ustawicznie piłuje i czyści paznokcie małym pilnikiem, często przyczesuje włosy.

— Pani Stefanjo — podchodzi naczelnik oddziału. — Niestety...

I tam nic?

Naczelnik rozkłada ręce.

— Przecież pani wie — chciałbym dla was jak najlepiej, ale teraz trudno o pracę... Prosiłem za pani mężem, ale dyrektor odmówił — trudno, nie możemy — powiedział — dla tego pana specjalnego działu tworzyć...

Pani Stefa oddziera znaczki, bierze pieniądze, wydaje resztę. Musi bardzo uważać, by się nie pomylić. Ale uważa już machinalnie, pracuje jak automat. A myśli — tam, w wilgotnym domku na przedmieściu, trzy kwadranse szybkiego marszu z poczty.

Cóż ten Jan — oczywiście, biedny, gryzie się i truje tem bezrobociem — ale czy nie ma w tem wszystkiem i jego winy? Oczywiście, jest, musi być... Gdyby był energiczniejszy, więcej rzutki... Przecież tak nie można... No, ma z niego wygodę, oczywiście, w domu wszystko zrobi, posługaczki dopilnuje — a przedewszystkiem dziecko, oczywiście. Jest spokojna o nie, tak je kocha.

Ale to przecież nienormalne, to krzywdzące. On, mężczyzna, ma pracować — ona chce w domu, przy Jagódce — ach, w domu! Nie spieszyć się od szóstej rano, nie sprzedawać tych znaczków i przekazów, być w domu, gotować, sprzątać, pracować jak najwięcej, niechby ponad siły — ale tam jest jej miejsce, nie tu!

Gdy stracił — wskutek redukcyj — ostatnią posadę w banku — rok temu — Jagódka miała czternaście miesięcy — starał się, pewnie — ale on taki nieśmiały, nie robi wrażenia, nic, taki „papuć“, jak go zawsze nazywa jej matka.

„Papuć“... Nie robi dobrego wrażenia, nie... a jednak... Jak się to stało, że wtedy na niej... wtedy na niej zrobił wrażenie, o tak... No, tyle lat temu...

Tyle? Wcale nie tyle. Pięć. Cóż to jest pięć lat... Młoda była. Teraz też jest młoda, tylko zniszczona, spracowana. Czuje się stara. Trzydzieści lat...

A tak się zapowiadało, ho ho... Awanse, bank rośnie, pensja niezła... Lepiej to, niż państwowa, cieszyli się, tyle pieniędzy. I nagle...

Co za szczęście, że naczelnik — kolega ojca, dobry człowiek — wpakował ją wtedy na pocztę. Inaczej z czegoby żyli? Bezrobocie dawno mu się skończyło, emeryturka — 57 złotych 40 groszy... Jak żyć? I dziecko!

Dzisiaj jednak musi odwiedzić matkę, tak dawno nie była.

Schody w mroku starej kamienicy, ciężko oddech złapać.

— No, nareszcie przypomniałaś sobie o mnie — wita ją matka.

Piją kawę, mówi o tem, o owem.

— A Jan nic, wciąż nic?

— Nic, mamo... Naczelnikowi znów odmówili... Nie mogą dla Jana specjalnego działu otwierać...

— Żeby on nie był taki „papuć“ — matka patrzy na nią przez wyłupiaste okulary — moja droga, mężczyzna w jego wieku, skoroby chciał, toby i mógł coś znaleźć...

— Teraz tak trudno, mamo...

— Trudno, ale ludzie żyją. I pracują! Nie żeby żona! Kto to widział... W naszej ro-

INOWROCŁAWSKIE SOLANKI



Inowrocław, słynne uzdrowisko Wielkopolski, wyróżnia się licznemi, nowocześnie urządzonemi zakładami leczniczemi, położonemi w malowniczym parku zdrojowym. Udostępniają one naturalne skarby lecznicze tego zdrojowiska szerokim rzeszom kuracjuszy, którzy z każdym rokiem darzą Inowrocław coraz większem poparciem. Także i tegoroczny sezon w Inowrocławiu zaliczyć można do prawdziwie udałych. W porównaniu bowiem z zeszłym rokiem o tym samym czasie stwierdzić teraz można znacznie ożywienie i wzrost frekwencji. Popularność swą zawdzięcza Inowrocław swym naturalnym środkom leczniczym: solance, borowinie, wodzie słonogorzkiej do picia itd. Ilustracje nasze przedstawiają fragmenty niektórych zakładów leczniczych zdrojowiska, a w szczególności pawilon kąpieli borowinowych, oraz środkową część Zakładu Przyrodo-Leczniczego, — który jest chlubą Inowrocławia.



dzinie tylko mężczyźni pracowali, kobiety z dziećmi i w kuchni były. Zrozum, moja droga — ja tych panien tu pięć trzymam na pensji — a każdej brat czy tam jaki narzeczony ma pracę. Szukają i znajdują. Ale to trzeba rzucić, postawić się, nie tak — papuć, dziecko niańczy i kurze w domu ściera, pfuj!

Pani Stefa kiwała głową, tak, matka ma rację, matka zawsze ma rację i wtedy też miała, gdy nie chciała się zgodzić na to małżeństwo. Tem bardziej, że się radca Mańkut trafiał, kręcił się koło niej.

— Mam tu pomarańczę dla Jagódki, zanieść jej. No, przyjdźże znowu kiedy, ja cały dzień w domu, bo ten reumatyzm w nogach i domu trzeba pilnować, bo z temi pannami to nigdy niewiadomo. No, pocałuj małą.

Schody trzeszczą, schody w dół. Na ulicy już noc, a niema jeszcze piątej. W błotnej zimie rosną latarnie mdłym blaskiem. Tramwaje jadą, dzwonią. Tramwajem byłaby w domu za dziesięć minut. Ale szkoda pieniędzy.

Matka ma rację. Żeby poszedł tu i tu, nachodził, nagabywał. Posługaczka dobra, dziecko zostawić na dwie godziny i iść. Ale on tu nie chce, bo już był przed rokiem, a tam nie, bo dyrektor to dawny jego kolega z banku, z którym się nie lubili, a tam znów inny wybieg. Papuć.

Tyle, że się dzieckiem zajmuje. Ale ona zato musi pracować i dom utrzymywać.

Szła uciążliwą, codzienną drogą i z każdym krokiem wzbierała w niej niechęć do niego i gorycz. Nie miała już sił. Nie mogła myśleć o tem, że jutro znów i pojutrze i tak wciąż, dokąd? jak długo? do końca życia?

Przecież tego życiem nie można nazwać! Cóż ona ma z życia? Czuje się tak stara... Trzydzieści lat...

Gdyby on miał posadę, mogłaby pomyśleć o sobie trochę, choć do fryzjera pójść — mówiła Cesia, że za złotówkę u małego fryzjera robią taki wałeczek z tyłu — wszystkie teraz tak noszą, tylko ona nie. Choćby te włosy — a już wyglądałaby młodziej.

Czy Jagódka ma się już lepiej, bo z tym brzuszkiem znów. Skąd się to przyplątało, ona przecież ma zdrowy żołądek i Jan jest niby zdrowy, choć taki ziemisty, chudy. Przedtem, gdy był w banku, lepiej wyglądał i był wesoły.

Trzeba błogosławić tę pracę na poczcie, każdy znaczek, każdy przekaz, bo to przecież ich wszystko, ich utrzymanie. Inaczej jakżeby?

— Z brzuszkiem w porządku! — powitał ją w progu. — A jak ty dziś, zmęczonaś?

Ucałowała dziecko, które zaraz wróciło do lalki.

— Jakże możesz się tak pytać — wybuchnęła — codziennie jestem zmęczona, codziennie, rozumiesz?

Popatrzył na nią, jak jemu oczy wyblakły!

Kolacja gotowa była w kuchence na stole. Tylko zagrzać wodę na herbatę.

— Nie byłeś nigdzie?

— Nigdzie.

— Oczywiście! Więc nie chcesz się nawet już starać o posadę? Co?

— Stefa, gdzież się mam starać... Dlaczego tak mówisz, taka jesteś podenerwowana...

Wzruszyła ramionami. Właściwie to zawsze wchodząc do domu, chciałaby i uśmiech mieć dla niego i dobre słowo, ale gdy tylko ujrzy go i Jagódkę z nim — opada ją ta irytacja, nie znajduje słów innych, jak tylko złe i uszczypliwe. Jagódka zupełnie widocznie okazuje mu większe przywiązanie. Nic dziwnego, jest z nim wciąż — a matkę widzi tylko wieczorami, gdy już śpiąca, gdy idzie spać. I ten wygląd jego, ta beznadziejna atmosfera mieszkania. I zmęczenie.

— Przecież miałeś jeszcze pójść spróbować do tego inżyniera...

— Tak, ale... właściwie — rozmyśliłem się. Cóż ja w takiem biurze inżynierskiem... ja tam do niczego, przecież nigdy przedtem...

— Ale jak się nic nie ma, to trzeba wszędzie, czy ty tego nie możesz zrozumieć? Trzeba się rzucać wszędzie, szukać na wszystkie boki, nie myśleć o tem, czy przedtem robiłeś to czy tamto. A żadna odpowiedź nie nadeszła?

— Żadna.

— No tak, żadna! Na tyle już ofert — żadna! Widocznie źle piszesz podania, jakoś trzeba tak napisać, żeby... żeby...

Sama nie wiedziała, co. Ale czuła to. Żeby i tamten jakiś dyrektor odczuł z podania, że to człowiek rzutki, energiczny, a nie papuć!

— Takiego nikt nie chce — szepnęła. Do siebie, on nie mógł tego słyszeć, bo właśnie do dziecka coś mówił. A niechby nawet i słyszał.

Za oknem szła noc szybka, zimowa. Wieczór — jak codziennie — o piętro wyżej. Szła zawsze do sąsiadki, samotnej starszej pani, emerytki. Była nauczycielką. Mówiły o tem, o owem, pasjanse stawiały, szydełkowały. Pani Klementyna zawsze dobrze na nią wpływała, pełna była humoru, nawet gdy jej emeryturę obcięli, nie martwiła się, nie przeklinała. Tak widocznie trzeba było — powiedziała jej — jakoś się przeżyje.

Właściwie i inny był powód tego wychodzenia wieczorem z domu, w którym nie była cały dzień. Że nie mogła patrzeć na Jana. Że gorąca zazdrość dławiła ją, gdy patrzyła na niego i Jagódkę. Jak to dziecko go kochało!

Przedtem zawsze ona usypiała Jagódkę. Ale raz dziecko zaczęło kaprysić, płakać, żeby tatuś. I tak to nawet jej odebrał, to małe, gorące ciałko, tak lekko omdlewające równiutkim snem w jej ramionach. A lubiła to usypianie...

Od pół roku skończyło się. Mówił potem kilka razy, że Jagódka znów ją wzywała, ale nie było jej, a nie mógł przecież dziecka zostawić i lecieć na piętro do Klementyny. I tak się to usypianie skończyło.

A nawet nie widziała nigdy, jak on to robi. Nie chciała patrzeć nawet.

U Klementyny właśnie zgadało się na ten temat.

— Bo widzi pani — mówiła emerytka — taki mąż jak pan Jan, to nie jest zły mąż. Racja, trochę jest powolny, ale i jemu jeszcze gwiazdka zaświeci. A za to jaki ojciec z niego. Proszę pani, mężczyźni zwykle nie nadają się do tego, by być ojcami — to raczej matki proszę pani, matki są zazwyczaj i matkami i ojcami... Naprzykład teraz: pani sobie przychodzi do mnie wieczorkiem, gadu, gadu — a mąż tam dzieckiem się zajmie, wszystko zrobi, o niczem nie zapomni, uspi...

Tak się o tem usypianiu zgadało i rozżaliła się pani Stefa. I raz jeszcze o swem szarem życiu, o poczcie, o dziecku, które tak się od niej oddaliło. I to usypianie...

Mówiła wspominając o tych czasach, gdy Jagódka była jej, naprawdę jej. Nie zasnęłaby inaczej, jak w jej ramionach. Matka karciła ją za to, ale ona nie chciała odzwyczajać dziecka od tego. Choć ciężko nieraz było, ręce mdlały, ale ten ciężarek jakże był kochany, jak drogi, drogi, najdroższy.

I jeszcze jedno było w tem kochanego: wspomnienia. Jej wspomnienia. Z dalekiego dzieciństwa. Ojciec umarł, gdy miała pięć lat. Ojciec wieczorami jakże często siadał przy niej i gdy zasypiała śpiewał jej. Śpiewał różne piosenki, ale najczęściej jedną, taką krótką, prostą — lubiła ją najwięcej... Nigdy potem w życiu nie słyszała jej, nigdy — chyba w pospolitej, głupiej wersji — a pamiętała ją tak dobrze.

„Raz tatuś pojechał na polowanie,
zostawił córeczkę jak malowanie,
trąbacze trąbili, muzyka grała,
gdy tatuś powrócił, córeczka spała".

Tyle, już.

Śpiewała tę piosneczkę swym lalkom długo jeszcze, gdy ojca już nie było. Gdy stawała nad jego grobem, tę prostą melodję słyszała. W tej melodyjce była treść jej dzieciństwa, serce jej dzieciństwa.

A potem, gdy pierwszy raz, jeszcze tak słaba, tak senna i umęczona czuła koło siebie delikatne ciałko dziecka, takie jeszcze niewyraźne, takie jakby nie z ciała zrobione — ta piosenka znów wypłynęła i choć dziecko spało, zanuciła ją spieczonemi wargami cicho, bardzo cicho, może nawet tylko w myśli, ale przez łzy, łzy rozczulenia i szczęścia.

I zawsze tę piosenkę śpiewała usypiając małą, codziennie.

— A wie pani, że nawet chciałabym raz zobaczyć, jak Jan usypia Jagódkę... Czy on jej śpiewa i co?

— To niech pani zejdzie na dół i posłucha!

— Nie, nie chcę... Moja kochana pani, co tu robić, by Jan dostał coś... Przez to jego bezrobocie wszystko się rozsypuje poprostu, nie potrafię być dobrą dla niego, nie potrafię myśleć o dziecku bez goryczy...

Pani Klementyna mówiła. O pracy, o kryzysie, o lepszej przyszłości. Dziecko zawsze kocha matkę, matka o to nie powinna się obawiać, by kiedy przestało. To raczej ojców dzieci nie kochają, ale matki — zawsze. Jan dostanie wkońcu posadę, ona przestanie z pocztą, będzie znów z dzieckiem, tak, pani Stefo, to przecież nie będzie tak zawsze...

Potem gazetę przeglądała, istotnie, musi być lepiej — tak piszą, że kryzys przechodzi, że Polska zwycięsko, że waluta, że się liczą, że zagranicą, że inwestycje. Musi być lepiej, skoro tyle piszą o tem.

A potem — codziennie: ogłoszenia, te drobne. „Wolne posady". Spisała zawsze ze dwa-trzy adresy. Jan pisał podania, które rano sama rzucała do skrzynki na gmachu redakcji. Za każdym razem nowa nadzieja, ale codziennie słabsza. Już całkiem wypłowiała nadzieja — a oczy, oczy jego jakże wyblakły!

Tak jej te oczy utkwiły w myśli, że nawet pani Klementynie o tem powiedziała.

— Przecież on zawsze miał jasne oczy, nie?

— Ale teraz takie ma jakby wypłakane, jakieś...

I pani Klementyna znów swoje. Żeby poszła, żeby wieczorami przynajmniej razem z niemi była, że jej miło, gdy wpada do niej, ale miejsce pani Stefy nie jest u niej, tylko tam, o piętro niżej...

— Ma pani przecież klucz do mieszkania, niechże pani cicho wejdzie, bo mała już śpi, albo ją właśnie usypia — a może pani właśnie posłucha, jak on ją usypia. Wstyd, żeby matka tak obojętniała...

— Ja nie obojętnieję — nagle płacz wstrząsnął nią tak silnie, że o stół czołem się oparła — ja nie obojętnieję, tylko już nie mogę tak, nie mogę. Przecież ja kocham Jagódkę i Jana chyba kocham — a tak daleko od nich jestem przez tę gorycz mego życia, przez to jego bezrobocie, przez tę miłość dziecka, ja już nie mogę tak...

Twarda dłoń głaskała nieondulowane włosy pani Stefy bez marzonego wałeczka. Zegar tykał, tykał.

I tak się jakoś złożyło, że pożegnała się wnet i wyszła. Stanęła przed drzwiami swego mieszkania, cicho otwarła, weszła.

Ach, czy ona go kocha jeszcze? Tak w niej to pytanie nagle stanęło, tak niespodzianie. A jakże kochać, gdy przez niego

Dokończenie na str. 31-ej.

RUMIEŃCE LATA
FOT. SCHOSTAL



GIMNASTYKA WIOŚLARSKA



Najlepsze wyniki osiąga się w gimnastyce na t. zw. „aparacie wioślarskim".

Maszyna do wiosłowania, to sprzęt dobrze znany zagranicą i co ciekawsze bardziej popularny wśród bokserów czy gimnastyków, niż wśród wioślarzy. Maszyna ta bowiem nie jest sprzętem, na którym ściśle biorąc możnaby się nauczyć wiosłowania, brak bowiem w niej najważniejszej bodaj części, a mianowicie „pióra" wiosła i... wody. Uczący się więc nie może posiąść umiejętności prawidłowego manipulowania wiosłem i ogranicza się tylko do nauczenia się podstawowych ruchów wioślarskich.

Dzisiaj, kiedy teoretycy sportu wioślarskiego doszli do przekonania, że właśnie najważniejszą częścią techniki wiosłowania jest należyta praca piórkiem wiosła w wodzie, kiedy przykłada się o wiele mniejszą wagę niż dawniej do samego wyglądu wioślarza na łodzi — aparat wioślarski stracił jeszcze więcej na znaczeniu jeśli chodzi o wioślarzy regatowych.

Nie stracił jednak znaczenia jako doskonały przyrząd gimnastyczny. Mały stosunkowo sprzęt z łatwością mieści się w pokoju sypialnym, przyczem nowe wynalazki w tej dziedzinie pozwalają chować całą maszynę pod łóżko. Opór wody zastąpiony jest w aparacie przez specjalnie skonstruowane sprężyny, które zmuszają „wiosłującego" do poważnego wysiłku. Dlatego też aparat ten znajduje wielu zwolenników wśród bogatszych osób, które mogą sobie pozwolić na zakupno maszyny kosztem kilkuset złotych i codziennie rano odbywać na niej gimnastykę odchudzającą.

Ciekawem jest, że maszyny tego typu znajdują się w każdej sali gimnastcznej, jakich pełno w takim Berlinie, Paryżu czy Nowym Jorku. Używają jej chętnie bokserzy dla treningu kondycyjnego, gdyż maszyna ta jest wygodna w użyciu. Odpada konieczność odbywania dalekich spacerów, a solidna praca kilkugodzinna na aparacie pozwala „zgubić" kilka kilogramów zbędnego tłuszczu. Korzystają z tego wynalazku także i piękne panie, które na maszynie do wiosłowania starają się o ładną, smukłą linję.

W pewnym zakresie aparat wioślarski pozwala także do utrzymania się w kondycji bardziej zaawansowanym wioślarzom-skifistom, tj. wioślarzom, wiosłującym na jedynce, zwłaszcza tam, gdzie kluby wioślarskie nie mają zimowych basenów, zaopatrzonych w specjalne urządzenia do wiosłowania na wodzie, w których pióra wioseł zaopatrzone są w ramy żelazne, zamiast pełnych normalnych wioseł.

Tak więc użycie maszyny do wiosłowania jest bardzo różnolite, a jej wysokie walory spowodowały znaczne jej rozpowszechnienie, ale... zagranicą! U nas popularność tego sprzętu jest jeszcze bardzo znikoma.

W.

Dokończenie ze str. 18-tej.

Ówczesna rozmowa salonowa wymagała gruntownego przygotowania naukowego, poważnych wiadomości ze wszelkich dziedzin życia, oraz znacznego wyrobienia towarzyskiego. By odpocząć po tej bądź co bądź męczącej konwersacji, pani de Lézand opuściła koło czwartej po południu dom pani de Lambert i w liczniejszem towarzystwie udała się na przechadzkę do pięknych ogrodów Tuileryjskich, gdzie ludziom noszącym liberję, oraz plebsowi wstęp był surowo wzbroniony.

Czas jechać do teatru. Przedstawienia rozpoczynają się wcześnie, bo o piątej po południu. W komedji Francuskiej zapowiadają w bieżącym sezonie dwa dzieła młodego Arouet'a, który niewiedzieć czemu każe się zwać panem de Voltaire, a mianowicie: tragedje „Brutus" i druga „Edyp". — W pałacu burgundzkim w teatrze Komedji Włoskiej, panuje wszechwładnie niedawno widziany Marivaux.

Przedstawienia kończą się koło dziewiątej wieczorem i oto nadchodzi ważna chwila kolacji. Zaproszone przedtem towarzystwo, gromadzi się w jakimś znajomym domu, a każdy z gości musi przynieść do stołu zebraną podczas dnia wiadomość, ciekawostkę, dowcip lub nowinkę. Dobre wina i wykwintne potrawy przyczyniają się do rozjaśnienia myśli i zaostrzenia dowcipu.

Pani Helena wraca do domu w swej lektyce, którą poprzedza dwóch lokai z pochodniami.

W sypialni służące rozbierają do snu markizę. Jasny ogień pali się na kominku. Pokojówka zaciąga ciężkie firanki przy szerokiem łożu i piękna pani zasypia przemęczona pracowitem, ale równocześnie jałowem życiem, którego nie wypełni pogoń za nowością i zabawą.

Tadeusz Abdank Piotrowski.

Dokończenie ze str. 9-ej.

ca do oderwania się od Szwecji, zerwała z nią unję personalną w r. 1905 i obrała swym królem księcia duńskiego, Karola, który jako Haakon VII wstąpił na tron. Bolesny ten dla Szwedów fakt, został jednak przyjęty przez króla z naprawdę demokratycznem i mądrem zrozumieniem: skierowaną do norweskiego storthingu odewą, król pozostawił mu swobodę działania, nie uciekając się do jakichkolwiek represyj zbrojnych czy politycznych i uznając czynem a nie frazesem wolę ludu.

Obecny król Szwecji równie dobrze jest znany i lubiany zarówno jako „Mister G", jak też jako Jego Królewska Mość Król Szwecji, Gotów i Wandalów. Niezwykle sympatyczna sylwetka tego młodego fizycznie i duchowo nestora monarchów Europy, wszędzie wzbudza zrozumiałe zainteresowanie, gdyż król, wychowany niezwykle mądrze, przeszedłszy równie ciężką, jak odpowiedzialną szkołę życia, umie dostosować się do każdej sytuacji i do każdej roli. Ręka trzymająca rakietę tenisową umie również dobrze władać berłem: ta właśnie młodość nie tylko ruchów, ale też odruchów króla Gustawa V, stawia go w rzędzie najbardziej współczesnych monarchów, Monarchja szwedzka jak zresztą i norweska, nalepiej bodaj umiały dostosować się do wymagań dzisiejszego życia i nic nie tracąc ze swych moralnych przywilejów, korzystają w pełni z poparcia swych obywateli. Przypomina się na ten temat anegdota, zresztą autentyczna, którą podała prasa w r. 1905, gdy Norwegja odłączyła się od Szwecji, wybierając ks. Karola na króla. Na zapytanie dlaczego Norwegja, kraj chłopski, wybrał monarchiczną formę rządu, jeden z polityków tamtejszych orzekł: „Nie stać nas na republikę!" Istotnie monarchje skandynawskie dają znacznie więcej narodowi, niż od niego biorą.

Obecnie dom Bernadotte'ów spokrewniony jest z całem wielkiem kołem domów panujących: przez małżeństwo króla Gustawa V z ks. badeńską Wiktorją, potomkowie króla są również spadkobiercami krwi dawnych królów Szwecji, tj. dynastji Holstein-Gottorp-Wasa, gdyż babką królowej była jedna z ostatnich reprezentantek tego domu ks. Zofja szwedzka. Poza tem bliskie węzły krwi łączą dom panujący z domem Windsor, przez małżeństwo następcy tronu ks. Schonen — Gustawa Adolfa z ks. brytyjską Małgorzatą, córką ks. of Connaught Artura, a z domem belgijskim przez małżeństwo króla Leopolda III z ks. Astrid, tragicznie zmarłą córką ks. Karola westgotlandzkiego, brata króla. Bernadotte'owie podobnie jak i członkowie innych dynastyj, nieraz w życiu prywatnem, w zawodach nie idących w parze z ich stanowiskiem, znajdywali cel i zadowolenie. Stąd kilku członków rodziny złożyło swe tytuły, jak ks. Sigvard wnuk króla, żonaty z Eriką Patzek, zajmujący się produkcją filmową, tak też postąpił ks. Karol, żeniąc się z hr. Elsą von Rosen i b. następca tronu Oskar, żonaty z Ebbą Munck, b. damą dworu itd.

Król Gustaw mimo swych 80 lat prowadzi życie nader czynne: wstaje o godz. 7 rano, goli się sam, po partji tenisa zaczyna pracować z swymi ministrami. Odżywia się skromnie: pije dużo mleka, jada chętnie śledzia z kartoflami w mundurach.

Najlepiej jego stosunek do narodu i do rządu charakteryzuje odpowiedź, jakiej pewnemu dziennikarzowi udzielił jeden z działaczy socjalistycznych na zapytanie, jak król odnosi się do poddanych? — Król mówi do mnie zawsze „per ty", a na każde Boże Narodzenie przysyła mi podarunki dla mojej żony i dzieci! — Tak więc „Mister G" jest nie tylko popularnym na korcie tenisowym, ale w całem swojem królestwie!

Jan Maleszewski.

FILM Z ŻYCIA SOLSKIEGO



W ostatnich dniach bawił w Krakowie Ludwik Solski wraz z reżyserem „PATA" Romualdem Gantkowskim w związku z przygotowaniami do filmu z działalności teatralnej wielkiego artysty. Będzie to pierwsza tego rodzaju praca filmowa „PATA", zasługująca tembardziej na podkreślenie, że stworzy swego rodzaju dokument historji teatru polskiego. Na zdjęciu: Ludwik Solski i reż. Gantkowski przed Teatrem Słowackiego w Krakowie.

TOURNEE ZESPOŁU „CYRULIKA WARSZAWSKIEGO"



Przed kilku dniami bawił w Krakowie na występach zespół najwybitniejszych sił artystycznych „Cyrulika Warszawskiego" z rewją p. t. „Jarmark śmiechu", która w ciągu sezonu osiągnęła rekord powodzenia w Warszawie. Artyści, którzy objeżdżają niemal wszystkie miasta polskie w ciągu lata, przybyli z wizytą do redakcji „Asa". Widzimy ich na zdjęciu na dachu Pałacu Prasy — w środku p. Stefcia Górska, od prawej pp. M. Rentgen, L. Lawiński, K. Krukowski i pianista L. Boruński.

ŚLUB ZIEMIAŃSKI



Przed miesiącem odbył się w kościele parafjalnym w Słupach ślub p. Marji Ponikiewskiej z Chraplewa z p. Michałem Szczanieckim z Łaszczyna. Na zdjęciu powyżej: Młoda para po ceremonji ślubnej.

Fot. Zakład „Wanda" — Żnin.

UDANY DEBJUT ŚPIEWAKA



Bawiący w tym sezonie w Medjolanie młody tenor śląski Franco Beval zdobył sobie publiczność włoską nietylko pięknym głosem, ale i kulturą artystyczną. Debjut naszego śpiewaka w „Łucji z Lammermoor" w Soncino oraz późniejsze jego występy sceniczne i estradowe we Włoszech zostały przez prasę bardzo przychylnie przyjęte.

WIECZÓR VERY ZAHRADNIK



Wśród krakowskich szkół tańca wyróżnia się placówka p. Very Zahradnik, która ostatnio urządziła w Starym Teatrze wieczór taneczny. Zarówno sztuka choreograficzna p. Zahradnik, jak i poziom produkcyj jej uczenic złożyły się na całość wysoce artystyczną. — Na zdjęciu: Vera Zahradnik i Kwieta Bolońska w obrazie „Wiosna".

DUET Z M. S. „PIŁSUDSKI"



Nasz transatlantyk M. S. „Piłsudski" wrócił z swej pięciomiesięcznej podróży po wodach amerykańskich. Była to impreza zorganizowana dla turystów z U. S. A., w ramach której przygotowano szereg atrakcyj pokładowych. Należały do nich występy doskonałego duetu tanecznego „Rysia and Jadzia" z zespołu baletmistrza Koszuckiego (na zdjęciu).

K. SZUBERT i M. WĘGRZYN



Kapitalne, pełne życia i oryginalnych akcentów kreacje aktorskie dali pp. Kazimierz Szubert i Mieczysław Węgrzyn w komedji B. Nusic'a „Pani ministrowa" na scenie teatru im. J. Słowackiego w Krakowie. Komedja cieszy się dużem powodzeniem, a duet aktorski (na zdjęciu od prawej) K. Szuberta i M. Węgrzyna zdobywa zawsze zasłużone oklaski.

Niebezpieczeństwa
flirtu ze słońcem





Na lewo: Przedewszystkiem twarz i szyję trzeba natrzeć kremem, łagodzącym proces opalania skóry.

Letni pobyt na świeżem powietrzu, kąpiele wodne i słoneczne, stawiają szczególne wymagania przed kobietą, która dba o swą kulturę fizyczną i piękny wygląd. Będziemy się z lubością opalać na bronz. Od tego jest przecież lato! Oto jesteśmy na plaży. Cóż za uczucie swobody, świeżości i prawdziwego wytchnienia. Czujemy się odrazu odrodzone! Ale, uwaga na słońce! Bo zdradliwe jego pocałunki, skoro tylko trwają zbyt długo, mszczą się na niedoświadczonych entuzjastkach przykrym „słonecznikiem".

Narody morskie — a my też dążymy do tego, by być narodem morskim — znają dobrze tajemnice helioterapji na plaży. Już starożytni Grecy i Rzymianie umieli stosować kąpiele słoneczne wedle czasu zegara słonecznego. Trzeba sobie przyswoić pewne zasady. Wyszedłszy pierwszego dnia w kostjumie kąpielowym nad morze, nie wolno dłużej nad parę minut używać całkowitej insolacji. Dopiero po takim wstępie każdy następny dzień przyniesie możność dłuższego korzystania z kąpieli słonecznych, a po tygodniu dopiero plażowanie odbywa się bez obawy bolesnego przypalenia skóry.

Powodują je promienie słoneczne, których wibracja przekracza cyfrę 2.900. Aby zabezpieczyć się przed ich intensywnem działaniem na delikatną naszą skórę, trzeba ją asekurować przy pomocy odpowiednich tłuszczów, które filtrują niejako te ostre promienie słońca, przepuszczając swobodnie inne, mniej naskórek drażniące. I znowu opalenizna skóry nie jest niczem innem, jak tylko skoncentrowaniem na jej powierzchni ciemnych barwików, tego pigmentu, który chroni głębsze warstwy skóry przed palącem działaniem najsilniej wibracyjnie działających promieni słonecznych.

Pierwszy dzień na plaży jest najważniejszy. Jeżeli umiejętnie dostosujemy się do wskazań racjonalnej kosmetyki, będzie on wstępem do radosnego pobytu, obliczonego na czas dłuższy. Już przed wyjściem z domu, należy całą skórę natrzeć lekko odpowiednim kremem, a powtórzyć to na plaży przy pomocy np. olejku migdałowego. Kto zażywa odrazu kąpieli morskiej, musi pamiętać, że po wyjściu z wody, trzeba ciało obsuszyć ręcznikiem i znowu natrzeć kremem czy olejkiem, uważając przytem, aby przez ciągły ruch, spacer, ćwiczenia gimnastyczne i bieganie, nie dopuścić do przypalenia skóry.

Równie jak działanie słońca, bardzo intensywnem jest działanie wiatru na naskórek, gdyż powoduje szybsze opalanie się. Jak słońca, tak i wiatru trzeba się strzec nad morzem, albowiem wysusza szybko naskórek, odbierając mu możność obrony, jaką jest wcierany weń olej ochronny.



Po przyjeździe nad morze każdy biegnie zaraz na plażę, by tam wygrzewać się na słońcu. Ale uwaga na jego zdradzieckie promienie! Bez zastosowania kremu możemy łatwo nabawić się „słonecznika".



Poniżej od lewej: Pierwszy dzień na plaży wymaga bezwzględnie nacierania tłuszczem całego ciała, przyczem nie należy pominąć zewnętrznej strony rąk i ramion oraz tej partji pleców, której nie zakrywa kostjum kąpielowy.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA: C. ANDERS — PARYŻ.







Woda morska, jakkolwiek wielostronnie korzystnem jest jej działanie, nie jest bez ujemnego wpływu na cerę, jeżeli nie zmywa się twarzy i szyi po kąpieli czy pływaniu. Przez zmywanie usuwa się drobniutkie cząsteczki soli morskiej, które zatykają pory i mogą być powodem zadrażnień skóry. To też bawiąc nad morzem, pamiętajmy o kilkakrotnem w ciągu dnia przemywaniu twarzy i szyi letnią miękką słodką wodą i delikatnem mydłem. Nie trzeba też przytem używać ani gąbki, ani rękawic, lecz przy pomocy samych tylko namydlonych dłoni myć i opłókiwać skórę. Kto nie znosi mydła na twarz, może się posługiwać mydłem produkowanem z masła kakaowego, które jest zupełnie neutralne.

W czasie pobytu nad morzem, czy wogóle na jakiemkolwiek letnisku, warto wykorzystać czas na przeprowadzenie kuracji zdrowotnej dla cery. Jedną z jej rodzajów jest kuracja mleczna. Polega ona





na codziennem piciu mleka w ilości do jednego litra dziennie, jak i na stosowaniu mleka na skórę. Zwilża się ją mlekiem każdego wieczora i nie wysuszając zostawia tak do wyschnięcia. Także i sok ogórkowy działa w lecie nader wydelikacająco na cerę. Pokrajanym w plasterki ogórkiem naciera się skórę, tak, aby sok zwilżył ją silnie i wnikliwie. Pozostawia się tak skórę aż do wyschnięcia, uważając tylko na przeciągi i promienie słoneczne, które działałyby szkodliwie. Niektóre panie używają z powodzeniem kremu ogórkowego, sporządzonego domowym sposobem z soku ogórkowego, lanoliny, białego wosku i paru kropel taniny.

Jadąc nad morze ma niejedna z pań skrupuły z powodu niepotrzebnego owłosienia nóg, co zwłaszcza u brunetek jest istotnie przykre. Jest na to rada w postaci kilku możliwych do zastosowania środków. A więc najłatwiej będzie ciemne włosy rozjaśnić, a nie będą raziły, jak nie rażą u blondynek. Radykalniej poradzić można, usuwając te niepotrzebne włoski zupełnie, czy to przy pomocy kuracji z woskiem, czy elektrolizą, jakkolwiek ten ostatni środek jest i bardzo kosztowny, i długotrwały, i bolesny. Są również kremy i wody depilacyjne, ale trzeba je stosować ostrożnie i czas dłuższy, aby działały skutecznie, a nie wywołały jakiegoś zaognienia skóry.

To też najłatwiejsze jest rozjaśnienie włosów przy pomocy wody utlenionej. Przy jej działaniu pojaśnieją one do tego stopnia, że nie będą razić ani samej pani, ani tych, którzy z nią razem zażywać będą rozkoszy plażowania.

Elwira.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

PRZEKĄSKA ZDROWOTNA. Łyżkę deserowego masła (5 dkg) uciera się na pianę, następnie dodaje się pełną łyżkę utartej na cienkiem tarle białej rzodkiewki, łyżeczkę soku cytrynowego, szczyptę soli roztartej z kawałeczkiem czosnku i troszką siekanego koperku lub szczypiorku. Wszystko razem wymieszane, nakłada się dość grubo na opiekanki z ciemnego chleba.

FRANCUSKA ZUPA ZIEMNIACZANA. 25 dkg gotowanych ziemniaków przeciera się przez sito. Na łyżce masła smaży się siekaną cebulkę, dodaje starte ziemniaki, smaży chwilkę, mieszając, dolewa litr rosołu lub wody z rozpuszczonemi kostkami bulionowemi, zagotowuje i wlewa przez sitko na roztarte w wazie żółtko z łyżką śmietany. Do zupy dodaje się w miarę potrzeby soli i szczyptę pieprzu oraz siekaną zieloną pietruszkę i szczypiorek. Dodatek: cienkie grzanki z chleba nacierane czosnkiem i smażone na maśle.

KOTLETY Z BESZAMELU. Cienko ubite kotlety cielęce osypuje się mąką i osmażą na rozpalonem maśle i odstawia. W międzyczasie dusi się na maśle kilka cienko poszatkowanych pieczarek lub innych grzybków. Do gęstego beszamelu sporządzonego z łyżki masła, tyleż mąki, które się razem zasmaża, zalewa 1/8 litra mleka i zagotowuje, dodaje się łyżkę parmezanu, 2 żółtka, troszkę soli, tęgą pianę z 2 białek oraz uduszone grzybki. Na ostudzone kotlety nakłada się z jednej strony masę pieczarkową, kładzie tą stroną na rozpalonem maśle, nakłada łyżkę masy na drugą stronę kotletu, posypuje bułeczką i osmaża drugą stroną na rumiano. Kotlety podaje się obłożone jarzynkami i smażonemi ziemniaczkami.

GRZYBEK Z RESZTEK PIECZENI. Trzy małe czerstwe bułeczki ociera się na tarce z zwierzchniej skórki, kraje w cienkie płatki i polewa mlekiem rozkłuconem z trzema całemi jajami. Do zupełnie roztartej masy bułkowej dodaje się drobno posiekane resztki pieczeni cielęcej, o ile możności z nereczką, dodaje też łyżkę siekanej zielonej pietruszki i soli w razie potrzeby. Wymieszaną masę kładzie się na rozpalone masło na brytwance (masła powinno być 5—6 dkg) i smaży na blasze naprzód z jednej strony, następnie odwraca się grzybek łopatką i rozrywa go podczas smażenia dwoma widelcami na małe kawałki.

RAKI. Przysmak ten, który całemi masami odbiera od nas zagranica, stanowczo za mało jest u nas w użyciu. Być może, że obawa przed zatruciem odgrywa tu rolę, należy więc kupować tylko raki żywe, a szkopuł ten odpadnie. Kolor zdrowego raka jest prawie czarny, ogon nie wyciągnięty lecz skręcony, także po ugotowaniu. Ogólne jest mniemanie, że aby uzyskać lepszy smak, musi się rakowi żywcem wyciągnąć jelito. Jest to zupełnie zbyteczne okrucieństwo. Wystarczy, jeśli na parę godzin przed gotowaniem naleje się na raki dobrego zimnego mleka, które wciągnięte przez raki powoduje oczyszczenie jelita, pozatem i mięso raka będzie smaczniejsze. Raki muszą być **żywe** wrzucone na wrzącą wodę, innego sposobu gotowania nie ma. Jest to zło mniejsze, gdyż w ten sposób momentalnie giną; gorszem okrucieństwem byłoby, gdyby je przystawiano w zimnej wodzie i powoli ogrzewano.

Do wody daje się dużo zielonego kopru dla zapachu i łyżke soli. Czas gotowania wynosi 15—20 minut, zależnie od wielkości raka.

MACARONI „AU GRATIN". 20 dkg grubego makaronu włoskiego w kawałkach gotuje się w słonej wodzie, przelewa odcedzony zimną wodą i osącza na sicie. 1/4 litra śmietany, 2 całe jaja i 2 żółtka, troszkę soli i pieprzu, 2 łyżki parmezanu i 2 łyżki roztopionego masła, rozciera się dokładnie, potem miesza z makaronem. Formę natartą masłem i wysypaną bułeczką nakłada się masą makaronową, posypuje suto parmezanem i wstawia do piecyka na 20 minut.

KRUCHY TORT Z RABARBAREM. 14 dkg masła, 2 żółtka, 5 k. cukru, 14 dkg białego sera, 10 dkg mąki zagniata się na tęgie ciasto, dzieli je na trzy równe części, które się rozwałkowuje na okrągłe placki wielkości tortownicy i następnie piecze. Placki te przekłada się marmoladą sporządzoną z rabarbaru pokrajanego na cienkie płatki i uduszonego z cukrem (na 1 kg łodyg — 50 dkg cukru), 5 dkg siekanych migdałów bez łuski i dla zapachu startą skórkę z cytryny lub trochę wanilji. Rabarbar należy zasypać cukrem i zostawić parę godzin, a kiedy utworzy się trochę soku, gotować powoli, a nie dolewać wody, aby marmolada była dość gęsta. Przesmarowane marmoladą placki zestawia się w całość i oblewa tort lukrem pomadkowym, na który gotuje się 10 dkg cukru z paru łyżkami wody tak długo, aż lukier zdmuchnięty z łyżki ciągnie za sobą nitkę. Oblany lukrem tort wstawia się na parę minut do piecyka dla obsuszenia lukru, nabierającego w ten sposób połysku.

Sc. Ko.

PRAKTYCZNE WSKAZÓWKI W GOSPODARSTWIE DOMOWEM



Ileż to razy pani domu sparzy sobie palce na naczyniach rozgrzanych na blasze, biorąc je za uszka i nie zdając sobie sprawy z ich temperatury. By zapobiec takim przykrym oparzeniom, dobrze jest otoczyć uszka naczyń rafją, która doskonale izoluje metal, pozwalając na uchwycenie naczynia bez oparzenia ręki.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 24 — **Czerwiec** — 31 dni



NIEDZIELA **5** Zielone Święta	Rosół z drobiu z pulpetami. Paszteciki z rakowemi szyjkami. Młoda gąska lub pularda z mizerją. Kruchy tort. Kolacja: Zimny półmisek, sałatka majonezowa.
PONIEDZ. **6** Pon. Ziel. Świąt.	Zupa koprowa z śmietaną. Omlet z grzybkami. Kotlety w beszamelu z jarzynkami. Rulada biszkoptowa z szodonem. Kolacja: Jaja w galarecie.
WTOREK **7** Roberta	Francuska ziemniaczanka. Budyń szpinakowy. Pieczeń nerkowa z sałatą. Legomina z naleśników wypiekana. Kolacja: Grzybek z resztek pieczeni.
ŚRODA **8** Medarda S. dn.	Zupa z młodych jarzyn. Macaroni "au gratin". Pieczone gołąbki nadziewane. Sałata. Grzanki z bułki z sokiem owocowym. Kolacja: Ziemniaczki, zsiadłe mleko.
CZWARTEK **9** Felicjana	Rosół z kaszką krakowską. Sztuka mięsa zapiekana z chrzanem. Befsztyki garnirowane. Kompot z owoców sezonowych. Kolacja: Jaja w sosie pomidorowym.
PIĄTEK **10** Małgorzaty S. dn.	Chłodnik ogórkowy. Knedel bułkowy z sosem grzybowym. Karp pieczony z sosem remuladowym lub chrzanowym. Placek drożdżowy z serem. Kolacja: Raki, chleb, masło, rzodkiew etc.
SOBOTA **11** Barnaby ap. S. dn.	Barszcz z młodych buraczków. Kaszka z grzybami. Rosbef z jarzynkami. Buchtle. Kolacja: Jaja w szklance.



HOCKI-KLOCKI

PODRÓŻ WAKACYJNA.



— Tak, moja droga, jestem strasznie zdenerwowana, to też pan Kilroy pomoże mi w ucieczce przed samą sobą.

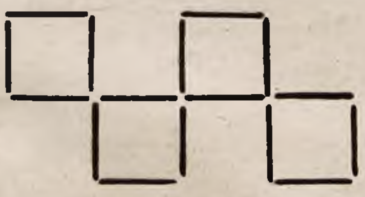
„Esquire"

Rozwiązania Nru z 22-go.

RACHUNEK RESTAURACYJNY.

6 zł 50 gr. Rachunek p. Kanarka wynosi $^1/_3$—60 gr., p. Słowika $^1/_3$+20 gr., a p. Wróbla 2 zł 60 gr Wobec tego cały rachunek ($^3/_3$) wynosi $^2/_3$+2 zł 20 gr. Stąd $^1/_3$ = 2 zł 20 gr., a więc cały rachunek 6 zł 60 gr.

ZADANIE Z ZAPAŁKAMI.



Rysunek wskazuje rozwiązanie zadania.

Dokończenie ze str. 5-tej.

nej mozaiki witraży — ołtarz Wita Stwosza, jednego z największych artystów średniowiecznej Europy. Kościół Dominikanów, OO. Franciszkanów, św. Krzyża, św. Anny z dekoracją Baltazara Fontany z Como... Wawel. Królewska katedra, kryjąca szczątki doczesne królów, bohaterów i wielkich artystów polskich. Zamek królewski na Wawelu i jego przepych. Szczątki najstarszej świątyni polskiej na Wawelu z X wieku i katedry romańskiej z XI wieku...

— Polacy chętnie wyjeżdżają — przerwał Ronardowi barwny film wspomnień nieznajomy — by podziwiać zagranicę. Lubią oni zachwycać się obcemi ziemiami i chwalić cudzą sławę. Do siebie i do swego jednak odnoszą się z wyniosłością i pewnego rodzaju pogardą. Są oni, mam wrażenie, zupełnie odosobnieni w swym nienaturalnym kompleksie niższości. Dlatego powinni jaknajdokładniej poznać swe ziemie i siebie, aby nabrać zaufania do swych sił. Niech mi pan wierzy, że w ciężkich czasach dzisiejszych, w gorącym wirze konfliktów, sprzecznych ideałów i braku jasnej koncepcji jutra, które pogrążyły świat w zamęcie — wizyta w Krakowie jest dla przejezdnego koniecznem antidotum przeciw zapaleniu nerwów i utracie wiary. Pozatem wizyta taka posiada siłę atrakcyjną niezwykłej miary. Zrozumieli to ludzie z zagranicy i zasmakowali w świeżo odkrytej atrakcji turystycznej, jaką jest Polska z Krakowem na czele. Przybywają do nas coraz tłumniej. Rozumieją to także Polacy. Kraków krzepi i napawa nadzieją i otuchą na przyszłość. Muzeum, posiadające takie pamiątki wielkości narodu, staje się dzisiaj dla Polaka miejscem kuracyjnem...

— To zabawne — powiedział po chwili nieznajomy i uśmiechnął się — że ja to panu mówię. Przecież pan wie o tem najlepiej. Nie mogłem się jednak oprzeć wzruszeniu, że jestem tak niedaleko celu mej podróży. Proszę mi wybaczyć moją gadatliwość...

Ale Ronard myślał uporczywie o tem, że nie potrafił zdobyć się przez wiele lat na to, co osiągali tysięczni turyści z odległych krajów, czy miast. Doznał uczucia, że nie umiał szukać pokrzepienia po swej pracy. Nawet gdy wyjeżdżał, obracał się w ciasnym kręgu mieszczucha, błądzącego po restauracjach, hotelach, kinach i teatrach.

— Niech pan spojrzy, zbliżamy się do Krakowa. Oto już widać sylwetki murów, zbudowanych z żywych kamieni, które potrafią mówić...

Ronard wyszedł z wagonu na peron z uczuciem, że przybył do obcego miasta, którego nie zna wcale. Nie myślał o swej pracy, która go czekała. Wiedział tylko, że ma teraz dużo czasu, który musi wykorzystać. W poczekalni ujrzał na ścianie afisz, zapraszający na „Dni Krakowa". Ronard opuścił dworzec i poprzez mgłę wczesnego ciepłego poranka szedł ulicami. Minął śródmieście, planty. Wyszedł w nowe dzielnice, i po raz pierwszy uprzytomnił sobie, że droga jego prowadziła przez średnicę Krakowa, po przekroju wieków i kultur — od zarania Polski, aż do jej dnia dzisiejszego.

Nad miastem wzeszło słońce.

Janusz Marja Brzeski.

Dokończenie ze str. 7-ej.

znawcy twierdzą, że haussa wywołana jest tym faktem, że jedną z bardzo niewielu rzeczy wartościowych, które można wywieźć z Wiednia, są właśnie znaczki pocztowe.

Zwracamy uwagę naszego M. P. i Tel. na kopertę lotniczą U. S. A. Czy nie wypadałoby u nas wprowadzić równie charakterystycznych kopert, któreby urzędnik mógł na pierwszy rzut oka zakwalifikować odpowiednio przy sortowaniu materjału. Nasze linje lotnicze nie powinny zwlekać, lecz same niech starają się u miarodajnych czynników o wprowadzenie znaczków lotniczych i specjalnych kasowników itp., a wtedy napewno zysk i obrót pocztowy wzrośnie w trójnasób. My zaś będziemy mieli mnóstwo nowego materjału, na który znajdziemy bardzo chętnych odbiorców. Oczywiście, że przygotowanie nowej serji lotniczej trwać musi dosyć długo, dlaczego jednak nie zacząć pracy tej od dzisiaj.

W. H.

Dokończenie ze str. 24-ej.

trzeba pracować na poczcie, trzeba miłość i przywiązanie dziecka tracić z dnia na dzień? Żeby coś się takiego stało, co mogłoby jej to wyjaśnić, jak tam właściwie z tą miłością, z tą dawną, z przed pięciu długich lat. Z tą z przed bezrobocia, z przed poczty...

Czyżby dziecko jeszcze nie spało? W pokoju ciemno, w kuchni ciemno. Stanęła w drzwiach, w ciemności. Nie śpi... Jan chodzi po pokoju, człapie, w pantoflach. Skrzypi podłoga.

I nagle Jagódka tak przez półsen:

— Jeszcze śpiewać...

Cieniutkim głosikiem to powiedziała, a oddech przytem gorący — o tak, pamięta pani Stefa ten oddech usypiającego dziecka, taki dziwny, taki swój...

I nagle... Nagle stało się coś niepojętego. W ciemnościach nagle jakby światło łagodne, jakby muzyka daleka, w ciemnościach nagle jakby skrzydła wspomnień, coś niepojętego, odurzającego — a to tylko jego głos, głos Jana, zwykły, schrypnięty trochę, drewnainy, ale on śpiewał to właśnie!

Stała w ciemności, a tam ciemność w pokoju jaśniała, jego cień, cień biały dziecka w jego ramionach:

„Raz tatuś pojechał na polowanie,
zostawił córeczkę, jak malowanie,
trębacze — — —"

Jak się to stało — te kilka kroków — ale jakby przepłynęła, a on nie wiedział przecież, że to ona, że ona tu jest, ale nie wzdrygnął się nawet, że tak nagle, nic tylko:

„— — — muzyka grała,
gdy tatuś powrócił — — —"

Było to dziecko w jego ramionach, ale on tak jakoś bokiem się odwrócił, że mogła mu ręce zarzucić na szyję, spojrzał na nią w rozrzedzonej już ciemności, czy się uśmiechnął?

Spotkały się ich usta, znowu, znowu tak, jak przedtem. A Jagódka już spała.

O tak! — to warto

przeczytać... zobaczyć... usłyszeć...



NOWE KSIĄŻKI.

Maurice Dekobra: „Egzekucja o świcie". Wydawnictwo Z. Gustowski i M. Wojciechowski w Poznaniu. Świeżo powstało w Poznaniu nowe wydawnictwo: **Z. Gustowski i M. Wojciechowski**, które wypuściło na rynek pierwsze swe książki, niezwykle s t a r a n n i e wydane. Wśród nich ukazała się też nowa powieść **Maurycego Dekobry** p. t. **„Egzekucja o świcie"**, w doskonałym przekładzie **Witolda Zechentera**. Powieść ta, którą dosłownie czyta się „jednym tchem", należy do najlepszych utworów znanego pisarza francuskiego — a zarazem jest bodaj najlepszą powieścią, osnutą na modnym motywie przygód szpiegowskich.

r. r.

Juljusz German: „Amaranty". Wydawnictwo Książnicy-Atlas, Lwów-Warszawa. Do l i c z n y c h w polskiej literaturze powieści historycznych — osnutych na wielkich akordach epopei napoleońskiej — dorzuca znany powieściopisarz **Juljusz German** swe **„Amaranty"**, dwutomową powieść, pięknie wydaną przez **„Książnicę-Atlas"**, opisującą w formie zachęcającej i barwnej fabuły dzieje lat 1803 -1813. Na pierwszy plan w tej powieściowej monografji uczestnictwa polskich nadziei w „wiośnie ludów" wysunął autor postaci ks. Józefa Poniatowskiego i Dominika Radziwiłła. Po za temi dwoma centralnemi figurami przesuwa się w powieści mnóstwo postaci historycznych i niehistorycznych, zgrabnie powiązanych interesującą fabułą W dorobku Germana „Amaranty" zajmą niewątpliwie poczesne miejsce.

„Teatr Polski żywej". Wydawnictwo Książnicy-Atlas, Lwów—Warszawa. Świetnie rozpoczęte „G a łązką r o z m a r y n u" Nowakowskiego i „B e t l e j e m P o l s k i e m" Rydla, wydawnictwo pod redakcją Bolesława Pochmarskiego, pragnące zawrzeć w sobie wszystkie wybitne pozycje dramatyczne literatury współczesnej, nadające się do szerokiej popularyzacji i zawierające odpowiednie pierwiastki narodowe, społeczne i pedagogiczne, rozszerzyło się obecnie o dwie dalsze pozycje: **„Podanie o Piaście" M. Jeżewskiej i „Robinsona Cruzoe" M. Billiżanki i Tommy'ego.** Obie te sztuki są pierwszorzędnemi utworami dla młodzieży i grane były z wielkiem powodzeniem przez teatry szkolne. Wydanie ich drukiem z licznemi objaśnieniami reżyserskiemi i inscenizacyjnemi, ułatwi ich dalszą a zasłużoną popularyzację.

John Worby: „Pamiętnik niebieskiego ptaka". Wyd. „Książnica—Atlas". Jeśli chodzi o powieść reportażową, jest „Pamiętnik niebieskiego ptaka jedną z ciekawszych książek tego typu. Inteligenty włóczęga po Ameryce opisuje w swym pamiętniku swoje przygody, kapitalne środowisko amerykańskich trampów i żebraków, rysuje świetnie charakterystykę oficjalnej pomocy, udzielanej biedakom czy to przez czynniki rządowe i samorządowe, czy też przez tak rozgałęzioną w świecie anglo-saskim Armję Zbawienia. Angielski wydawca tego pamiętnika, wydanego obecnie w polskim przekładzie przez „Książnicę—Atlas", zapewnia w przedsłowiu, że pozostawił wszystko — z wyjątkiem rzeczy drażliwych. Mimo to jednak zostało trochę z tych „drażliwych rzeczy", które nadają tej książce egzotyczny wprost koloryt, a równocześnie wartość dokumentu o tego rodzaju nędzy kumentu o nędzy ludzkiej.

w. z.

NA SCENIE.

WARSZAWA. W komedji Molnara **„Nowa Dalila"** (Teatr Mały) mamy rozgrywkę podobną do tej, jaką zawiera „Skiz" Zapolskiej. Pani Wirag widząc, że mąż chce ją zdradzić z młodą rywalką postanawia dość ryzykowny manewr: wyludza od męża znaczną kwotę pieniężną, którą obdarowuje narzeczonego swej rywalki. Teraz młodzi będą mogli się pobrać, a państwo Wirag zostaną razem. Doskonałą sylwetkę stworzył Kurnakowicz. Inni wykonawcy: Mila Kamińska (żona), Wysocka (młoda Ilonka), Roland (narzeczony). Reżyserja Przybyłko-Potockiej. **J.**

WYŚCIGI W OJCOWIE

Krakowski Klub Automobilowy organizuje dwie wielkie imprezy samochodowe: ogólnopolski zjazd gwiaździsty do Krakowa (10—11 bm.) i wyścig w malowniczej dolinie Ojcowa. Miłośnicy sportów motorowych będą mieli interesujące widowisko. W dn. 11 bm. do Krakowa przybędą na zjazd wozy z całej Polski.

W dn. 12 bm. na serpentynach Ojcowa odbędzie się **wyścig samochodowy i motocyklowy.** Na starcie ujrzymy czołowych kierowców polskich oraz przedstawicieli zagranicy. Zgłoszenia na Zjazd i na wyścig należy kierować do sekretarjatu Krakowskiego Automobilklubu (ul. Garncarska 1) do dn. 8 bm. (do g. 18). **J. J.**

KONKURS NA FELJETON

Celem szerszego spopularyzowania w społeczeństwie doniosłej roli **książki** i dobrze rozwiniętego **czytelnictwa** dla kultury i oświaty kraju, Związek Księgarzy Polskich ogłosił **konkurs na feljeton o książce.**

Warunki konkursu są następujące:

Tematem feljetonu winna być książka. Treść, rozmiar i forma feljetonu są dowolne.

Do konkursu można zgłaszać tylko feljetony drukowane w prasie polskiej w okresie od 1 go czerwca do 30 września 1938 roku.

Nagrody wyznacza się t r z y: I w kwocie zł 200.—, II w kwocie zł 150.—, III w kwocie zł 100.—

Termin ostateczny zgłaszania prac na konkurs upływa dnia 15-go października 1938 r. Do feljetonów ogłoszonych w druku pod pseudonimem winna być dołączona zamknięta koperta z nazwiskiem i adresem autora.

Jeżeli feljeton nadesłany zostanie w formie rękopisu, maszynopisu czy wycinka z pisma, to należy podać, w jakiem piśmie polskiem i kiedy był wydrukowany.

Skład sądu konkursowego zostanie wkrótce ogłoszony.

Prace na konkurs nadsyłać należy pod adresem redakcji „Przeglądu Księgarskiego", Warszawa, ul. Kredytowa, Nr. 10, m. 7, z zaznaczeniem na kopercie: „Konkurs".

NAJLEPSZE AUDYCJE POLSKIEGO RADJA.

Niedziela, 5 czerwca.

9.15 Transm. z uroczystego odsłonięcia pomnika St. Moniuszki. Nabożeństwo z Kościoła Matki Boskiej Zwycięskiej.
13.00 „Książki mojego dzieciństwa" — szkic liter. K. Makuszyńskiego.
13.15 „Z krajów winnic i pomarańczy" — muzyka obiadowa.
17.55 Transm. ze Strassburga międzypaństw meczu piłkarskiego „Polska—Brazylja", o mistrzostwo świata.
21.00 „Cabaret artistique". -- Kartki z historji kabaretu.
22.10 „Król pasterzy" — ludowa opera komiczna Osk. Kolbera.

Poniedziałek, 6 czerwca.

13.15 Muzyka obiadowa.
17.15 „Wrota dalekich mórz" — feljeton.
18.00 Podwieczorek przy mikrofonie.
21.20 Koncert chóru wyeliminowanego na Zjeździe Śpiewaczym w Gdańsku.
22.30 Minjatury na ork. smyczkową.

Wtorek, 7 czerwca.

16.20 Koncert orkiestry salonowej Rozgłośni Poznańskiej.
16.45 Jan Matejko — opowieść biograficzna.
17.00 Muzyka taneczna.
18.10 Pieśni Roberta Schumanna.
19.00 Recital skrzypcowy Stanisława Tawroszewicza.
21.00 Gioacchino Rossini: „Włoszka w Algierze" — opera komiczna.

Środa, 8 czerwca.

11.40 Fragmenty symfoniczne z op. Rimskiego-Karsakowa.
17.00 Muzyka taneczna.
18.10 Gra Kehudi Menubin.
19.30 „Humor i piosenka" — koncert rozrywkowy.
21.10 Koncert chopinowski.
22.00 Pięć wieków dawnej muzyki, II audycja.

Czwartek, 9 czerwca.

15.15 Planety — ich przeszłość i przyszłość.
17.00 Muzyka taneczna.
18.10 Ludwik Beethoven: 15 warjacyj i fuga na temat Symfonji Heroicznej, op. 35.
19.25 Ach te kobiety... Koncert rozrywkowy.
21.10 Piosenki dawnych czasów.
22.00 Koncert kameralny.

Piątek, 10 czerwca.

11.40 Śpiewa Charles Kullmann.
17.00 Muzyka taneczna.
18.10 Recital fortepianowy Aleks. Wielhorskiego.
20.30 Europejski koncert jugosłowiański.
21.55 Popularne suity.

Sobota, 11 czerwca.

16.00 Z utworów Schuberta. Wykonawcy: Orkiestra Mandolinistów.
17.00 Muzyka taneczna.
18.10 Recital wiolonczelowy Józefa Mikulskiego.
18.45 „Kraków w poezji" — kwadrans poetycki.
19.00 Transm. z Krakowa uroczystego nabożeństwa z okazji przewiezienia relikwij św. Andrzeja Boboli do Polski.
20.00 Festiwal Muzyczny na dziedzińcu Zamku Wawelskiego w Krakowie, I Wielki Koncert Symfoniczny.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.